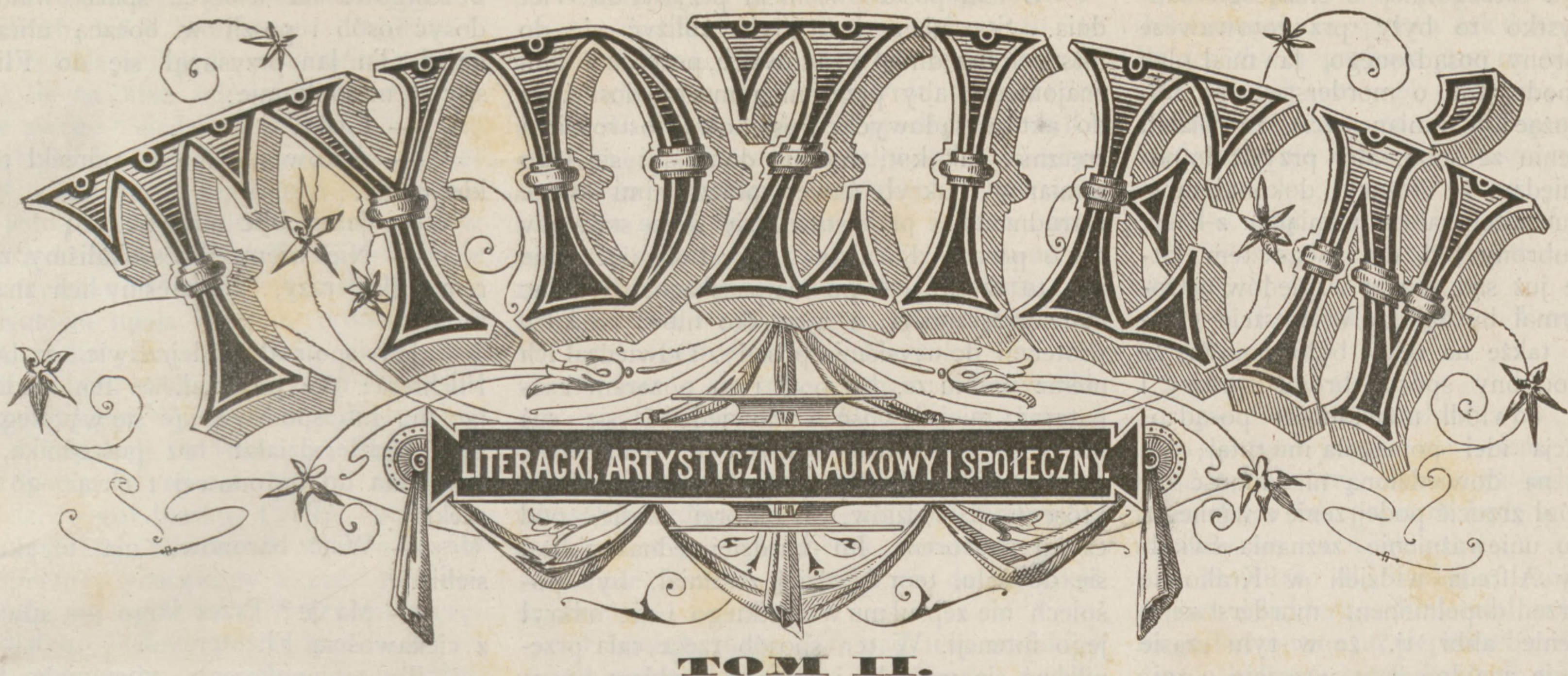
Nr. 25. Lwów, Niedziela dnia 20. Czerwca 1875 r. Rok II.



TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŹNE UWAGI.

XXIV.

Ratujmy sztukę polską!

III. Jeżeli utworzymy Towarzystwo, które weźmie sobie za wyłączny cel skupywanie arcydzieł polskiego pędzla *dla kraju*, zadanie jego będzie bardzo ułatwione. Towarzystwa prywatne, działające w interesie tylko swoich członków, mają do walczenia z niezliczonemi trudnościami, których Towarzystwo krajowe pewnie mieć nie będzie. I tak Sejm udziela stałą subwencję teatrom we Lwowie i Krakowie, chociaż obie te sceny są w rękach prywatnych przedsiębiorców; a udziela ją jedynie dla tego, że obowiązek nakazuje mu wspierać sztukę ojczystą. Czyż Sejm nie da znacznej kwoty na zakupno obrazów polskich, jeżeli prócz tego Towarzystwo powie, że zebrana galerja będzie zdobiła jego sale, przytykające w mającym stanąć gmachu sejmowym do sali posiedzeń? O tem nikt ponoś wątpić nie będzie, bo od takiego obowiązku Sejm uchylić się nie może.

Rada gminna miasta Lwowa pospieszy także ze znacznym zasiłkiem dla Towarzystwa. Rada zrozumie, że miasto nie mające w swoich murach nic szczególnego, z trudnością tylko przychodzi do znaczenia a nawet bogactwa. Czyż Drezno i Mnichów byłyby rok rocznie przez tysiące odwidzane cudzoziemców, gdyby nie miały bogatych muzeów i wspaniałych galeryj obrazów? A do nas czy przyjeżdżają cudzoziemcy? Jeśli jaki zapuści się do Galicji, to pierwszą i ostatnią jego stacją jest Kraków, gdzie go zająć mogą zabytki historyczne; — do Lwowa on nie spieszy, bo i pocóż by tu przyjechał? Wielka nasza bibljoteka Ossolińskich, jest ciekawą tylko dla ludzi nauki, bo tylko ci zgłaszają się wszędzie do bibljotek, a muzeum Dzieduszyckiego nie jest jeszcze znane za granicą. Dziś gdy linje kolejowe łączą nas z Rossją południową i całym niemal Wschodem, osoby wyjeżdżające rok rocznie tłumami do kąpiel niemieckich, zatrzymywały by się bez wątpienia dłużej we Lwowie, gdyby miały i u nas co widzieć i podziwiać. Piękna galerja obrazów, wzbogacająca się bezustannie, obok istniejącego już zakładu imienia Ossolińskich i muzeum Wł. hr. Dzieduszyckiego, była by dla przejezdnych niepospolitą siłą atrakcyjną, co w rezultacie wyszłoby głównie na korzyść miasta. Z nadejściem stosownej chwili, Rada naszej gminy zrozumiałaby swój własny interes, i kilku tysięcy nie pożałowałaby na cel tak piękny zarazem korzystny. O tem także nie wątpimy.

Prócz osób prywatnych, które kupowałyby akcje dla korzyści, wykazanych zeszłego tygodnia na tem miejscu, pozostałyby jeszcze rady gminne i powiatowe. Pamiętamy agitację, jaką rozwinął w Poznaniu komitet, zajmujący się wybudowaniem tamże narodowego teatru. Komitet rozsyłał delegatów zbierających składki nie tylko po całem Księstwie, lecz także po Galicji, a nikt od datku się nie uchylał, bo cel był wzniosły i uczciwy. Delegaci wysłani przez nasze Towarzystwo, rozprzedawaliby akcje między obywateli, i obecnością swoją staraliby się wpłynąć na Rady miejskie i powiatowe, aby znaczniejszemi datkami przyczyniły się do utworzenia wspaniałej instytucji. O pomyślnych rezultatach i tu nie wątpimy.

Zanimby się zebrało kilkadziesiąt okazów sztuki, zakupionych przez Towarzystwo, i mogących stanowić zawiązek galerji, osoby posiadające wspanialsze obrazy, nie odmówiłyby przysłania ich na jakiś czas na nieustającą wystawę, którą Towarzystwo musiałoby niezwłocznie urządzić, a dochód z wystawy byłby już obracany na cele Towarzystwa. Wł. hr. Dzieduszycki przysłałby z pewnością *Warszawę*, hr. Palffy *Polonię*, a krakowskie Tow. sztuk pięknych *Lituanię* Grottgera. *Skarga* Matejki, będący prywatną własnością, ukazałby się także na wystawie, a gdyby osoby interesowane chciały pracować gorliwie, nie wątpimy, że Cesarz, o którego sympatjach dla nas wszyscy jesteśmy przekonani, i któremu zawdzięczamy Akademję, kazałby nam przysłać na czas jakiś, lub może nawet na zawsze, *Wojnę* Grottgera i *Rejtana* Matejki. Wszak do muzeum peszteńskiego, Cesarz kazał wysłać wszystkie okazy przemysłu węgierskiego, które były w jego posiadaniu.

Poeta powiedział, że gdy wybierzesz drogę a prostą, to dolecisz choćby do słońca! Utworzenie Towarzystwa, o którem mowa, nie jest rzeczą tak trudną jak lot do słońca. Utworzyć i rozwinąć można je niewątpliwie, byle znalazł się przynajmniej jeden człowiek, któryby energicznie zajął się urzeczywistnieniem rzuconej przez nas myśli, która w pewnych punktach wymaga może zmiany, lecz w treści swojej jest z pewnością praktyczną.

Wykazaliśmy swego czasu całą nieudolność lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Tegoroczna wystawa potwierdza nasze zarzuty najzupełniej. Jest ona ósmą z rzędu, a mimoto najuboższą w liczbę wystawionych przedmiotów. Gdyby nie *Iwan groźny*, trzy czy cztery znakomite pejzaże szkoły monachijskiej, i kompozycja Leopolskiego, którą za namową osób nienależących wcale do Wydziału Towarzystwa, przysłał właściciel prywatny — tegoroczna wystawa lwowska byłaby całkiem pusta. Mówiliśmy, i niestety mieliśmy rację, że jeżeli dłużej tak potrwa, wystawy u nas chyba całkiem ustaną. Wobec tak smutnych faktów cóż dzisiejszemu Towarzystwu uczynić wypada? *Oto przemienić się jak najprędzej w Towarzystwo nowe, któreby się zajęło utworzeniem narodowej galerji obrazów.*

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Zaczął od tego, że próbował najprzód wybadać ojca o wszystkie szczegóły, które mu były potrzebne. Podczas rozmowy z nim wypytywał go nieznacznie o rozkład mieszkań w domu bankiera, porządek życia rodziny zmarłego i służby, o charakter buchaltera, jego stosunek do pryncypała, jego

znajomości, a szczególniej o służącego bankiera. Wszystko to były przygotowawcze prace do obrony posądzonego. Jan miał plan zwrócenia podejrzeń o morderstwo na buchaltera i służącego a mianowicie, że działali w porozumieniu ze sobą, aby przyjść do posiadania pieniędzy, że służący dokonał morderstwa a buchalter zabrał pieniądze z kasy. Ten rodzaj obrony był dla niego tem łatwiejszym, że już sąd sam ze względów ostrożności zatrzymał buchaltera w areszcie śledczym. I to także na rękę było Janowi, że raz już w podobny sposób bronił sprawy i tak świetnie dowiódł niewinności posądzonej. Asocjacja idei pomagała mu tutaj; odwołując się na dowiedzioną niewinność hr. S., łatwiej mógł zrzucić podejrzenie z winnego. Szło tylko o unieważnienie zeznania świadków, którzy Alfreda widzieli w Krakowie w wieczór przed dopełnionem morderstwem, o udowodnienie alibi tj. że w tym czasie gdzieindziej się znajdował, a wreszcie o zniszczenie pierwotnych zeznań Alfreda. To była rzecz najważniejsza i najtrudniejsza. Zeznanie, jakie zrobił posądzony w pierwszej chwili uwięzienia, pod wrażeniem trwogi, potępiało go. Trzeba było zeznania te zniszczyć a raczej sfałszować. Jan wierzył że z pomocą swego sprytu i przebiegłości tego dokaże i w tym celu wyjechał do Wiednia.

Przypadek chciał, że tego dnia wyjeżdżała także Helena. Właśnie Jan siedział już w wagonie, gdy jakiś obok niego siedzący zwróciwszy się do swego towarzysza, rzekł dość głośno:

— Patrz, patrz, baronowa Rosenkranz, córka Sztolcego.

— Gdzie? gdzie?

— Tam idzie w żałobie, oparta na ręku tego blondyna.

— Czy to jej mąż.

— Nie, kuzynek męża.

— Niebezpieczny kuzynek dla męża.

— Teraz już nie może być niebezpiecznym; mąż baronowej od roku już nie żyje.

— Więc wdowa?

— Nie na długo, bo właśnie wychodzi za mąż za kuzynka. Śmierć ojca przeszkodziła im, bo w tych dniach mieli się pobrać.

Jan słuchał tej całej rozmowy łowiąc uważnie każde słowo, a twarz jego stawała się prawie rubinową z silnego wzruszenia. Dowiedział się, o czem wcale nie wiedział, że Helena była wdową. Nie powiedziała mu tego, a to jej zatajenie uważał za oszustwo i podstęp z jej strony. Dlaczego? Może nie umiałby tego dowieść, a jednak zdawało mu się, że nie powinna myśleć o miłości dla kogoś w chwili, gdy zależy od jego łaski i błaga jego pomocy. Taka miłość wydawała mu się zbrodnią, był to nowy policzek, który równie celnie skutkował, jak dawniej. W pierwszej chwili miał zamiar wysiąść z wagonu i wrócić do domu i całą sprawę wyrzucić z pamięci na śmiecie, jak się wyrzuca nieraz zasuszony kwiatek kochanki, co za mąż poszła ale po chwili namysłu zmienił zamiar.

— Jakież ja mam prawo, — myślał sobie — wymagać od niej takiego zaparcia się? Prawa te dopiero zdobyć sobie muszę, a wtedy będę mógł stawiać wymagania.

Z tem postanowieniem przybył do Wiednia. Staraniem jego było zbliżyć się do niższych urzędników sądowych, porobić z nimi znajomości, aby przez nich można dostać się do aktów sądowych. Postępował ostrożnie i zręcznie, jak kot, by nie domyślili się jego zamiarów, ukrył nawet przed nimi swoje zatrudnienie i przedstawił się jako starający się o posadę djurnisty. Starał się ująć sobie ich, to racząc ich po knajpeczkach, to robiąc małe grzeczności; a wszystko niby na karb protekcji do uzyskania posady. Odwiedzał ich nieraz w biurze, by pod tym pozorem rozpatrzyć miejscowość i dowiedzieć się coś bliższego o sprawie Alfreda a mianowicie, gdzie znajdowały się akta śledcze, w rękach którego z sędziów, w której szafie, pod czyim nadzorem. Im bardziej jednak zbliżał się do celu, tem bardziej zwalniał, by pośpiech nie zepsuł mu wszystkiego i nie odkrył jego intencji. W ten sposób rzecz cała przewlekać się musiała i żółwim krokiem posuwała się naprzód. Jan umiał być cierpliwym i czekać, i w ten sposób bez zwrócenia całkiem uwagi na swoje ukryte zamiary dowiedział się, że Alfred był dopiero raz przesłuchany, że sprawę jego ma w śledztwie sędzia Weildorf, że sprawa ta jednak wnet wraz z delikwentem przesłaną zostanie sądowi krakowskiemu. Adjunktem sędziego Weildorfa był właśnie jeden z owych znajomych Jana, nazwiskiem Flichter. Był to człowiek już nie młody, obarczony familją i w długach po uszy. Jan poznawszy bliżej stan jego interesów zaproponował mu wprost wykradzenie papierów za sumę dość znaczną. Rozumie się, że działał tu nie w swojem imieniu, ale niby jako pośrednik przysłany przez rodzinę obwinionego. Przedstawił Flichterowi, że za pieniądze, które zarobi przy tym interesie, będzie mógł z familją uciec za granicę, uwolnić się od wierzycieli i żyć daleko wygodniej, niż tu z lichej pensji, która mu nie daje dostatecznego utrzymania. W tym względzie miał zupełną słuszność, Flichter sam to uznawał i dlatego nie dał się długo namawiać. Wciągnięto do zmowy woźnego Jana Rübena, z którego pomocą Flichter mógł dostać się w godzinach niebiurowych do kancelarji i postarano się o kluczyk do szafy w której akta były zamknięte. Jan dał Flichterowi dość znaczną zaliczkę a resztę sumy obiecał mu wypłacić po dostarczeniu aktów. Plan jego był taki, że mając akta w ręku, chciał udać się do mieszkania baronowej i zaproponować jej warunki, pod któremi mógł uwolnić brata, a mianowicie sfałszować protokół śledczy i sfałszowany ulokować znowu z pomocą Flichtera między aktami sędziego. W razie, gdyby się nie zgodziła, miały akta nietknięte wrócić na dawne miejsce. Według umowy Flichter obiecał w niedzielę wieczorem dostarczyć papiery. Jan z niecierpliwością oczekiwał go w kawiarni Brunera, gdzie się zejść mieli.

Około godziny dziesiątej przyszedł Flichter, był blady i pomieszany. Jan z twarzy jego wyczytał niepomyślną wiadomość, nie mógł się jednak spytać w obec gości siedzących w kawiarni. Dla niezwrócenia uwagi musieli czas jakiś tam przesiedzieć i wypili razem kawę. Krótka ta chwila wydała się Janowi wiekiem. Nareszcie wyszli, zeszli z Ringów, na których spacerowało jeszcze dosyć osób i poszli w boczną uliczkę nad kanał. Tu Jan przysunął się do Flichtera i spytał niespokojnie:

— I cóż?

— Aktów nie ma — odrzekł tenże zakłopotany.

— Jakto być może?

— Nie wiem. Przeszukaliśmy z Rübnerem kilka razy, nigdzieśmy ich znaleźć nie mogli.

Jan spojrzał podejrzliwie z boku na Flichtera; przypuszczał, że ten niedowierzając mu lub spodziewając się wyższego zysku, gdy będzie działał bez pośrednika, zaniósł sam akta do baronowej i chcąc go podejść rzekł:

— Więc baronowa ma te akta już u siebie.

— Ma je? Przez kogo — spytał żywo z ciekawością Flichter.

To zaniepokojenie upewniało Jana, że przypuszczenie jego było nieprawdziwe.

— Ja tak się domyślam — rzekł poprawiając błąd swój. — Komużby innemu zależało na wydobyciu tych aktów.

Ten domysł powiedział na wiatr, bez myśli a jednak po chwili zaczął się obawiać czy rzeczywiście baronowa sama lub za czyją poradą nie wpadła na myśl sfałszowania aktów. To pokrzyżowałoby mu wszystkie jego plany.

— Może akta już odesłano do Krakowa — zauważył Flichter.

— Trzebaby się o tem przekonać.

—Zrobię to. Jutro będę w dzienniku sądowym i będę się starał nieznacznie przepatrzeć księgę.

Z tem się się rozstali. Na drugi dzień wieczorem mieli się znowu zejść w piwiarni Bischofa o ósmej.

Jan przepędził ten czas w wielkim niepokoju i obawie. Tak misternie przez niego ułożony plan miał się rozchwiać na niczem. Wszystko mu jedno było, czy papiery zostały już wysłane czy dostały się do rąk baronowej, w każdym razie jednak wolałby był, żeby pierwszy jego domysł był prawdziwszy, bo wtedy nie Helena ale on by tryumfował, a przytem miał jeszcze nadzieję sfałszowania tych aktów w Krakowie. Wszędzie można znaleźć ludzi, których uczciwość za pieniądze kupić można. Takie przekonanie miał Jan.

Przed wieczorem dla zabicia czasu, który mu okropnie powoli upływał, poszedł do Volks-gartenu. Był koncert Strausa. Mnóstwo wystrojonych dam i eleganckiej złotej młodzieży zapełniało miejsce przed estradą, na której Straus wywijał smykiem i zachwycał swojemi walcami. Jana nie wiele obchodził cały ten świat elegancki wiedeński, nie był amatorem pięknych twarzyczek, towarzystwo było mu całkiem obce, usiadł więc z boku i obojętnie przysłuchiwał się muzyce.. Uwaga jego zajęta była czem innem, myślał o procesie a na tle muzyki myśli jego najfantastyczniejsze, najpotworniejsze przybierały kształty. Około niego siedziało dwóch jakichś młodych ludzi, z których jeden widocznie dawny mieszkaniec Wiednia i obznajmiony dobrze ze stosunkami wskazywał drugiemu różne osoby z towarzystwa i objaśniał dość ciekawemi uwagami. Jan nie wiele zwracał u-

wagi na ich rozmowę, ale bezustanna gadanina młodych ludzi zaczęła go już drażnić, bo przeszkadzała mu myśleć spokojnie i chciał przenieść się na inne miejsce. Podniósł się więc ze swego siedzenia i rozglądał się w około, gdzieby się mógł wygodnie umieścić, gdy naraz wzrok jego padł przypadkowo na jedną damę, która o parę rzędów krzeseł przed nim przechodziła i przez szkiełka rozpatrywała również, gdzieby usiąść mogła. Kobieta miała kostjum bronzowy aksamitny, nadzwyczaj elegancki z białą kryzą Marji Stuart koło szyi, i takiż sam kapelusik z białem piórkiem. W ruchach jej było wiele wdzięku i elegancji, a twarz jej biała matowa, delikatna, ożywiona dużemi, czarnemi oczami dziwnego blasku i siły, otoczona bujnemi splotami złotawych włosów miała wyraz sprytny, energiczny a przy tem kapryśny. Za nią szedł lokaj i trzymał na rękach kudłatego białego pinczerka.

Jan wpatrywał się w kobietę i oczom własnym nie wierzył. W eleganckiej damie poznał swoją siostrę. Od czasu zagadkowej ucieczki jej z Krakowa nie wiedział wcale, co się z nią stało. Nie wiele go to zresztą obchodziło. Wiedział a raczej domyślił się, że uciekła z Alfredem; był pewnym, że młody rozpustnik, pobawiwszy się nową zdobyczą porzuci ją jak tyle innych i dziewczyna pójdzie zwykłą koleją tego rodzaju kobiet, korzystać będzie z wdzięków i młodości do pewnego czasu a potem zmarni się. Ujrzawszy ją w takim stanie zdziwił się mocno i nie umiał sobie wytłómaczyć tej świetnej przemiany. Wnet jednak dowiedział się bliższych szczegółów z rozmowy swoich sąsiadów.

— Patrz! — mówił jeden do drugiego wskazując oczami przybyłą — to piękna Polka, jedna ze świetniejszych gwiazd naszego pół światka.

— I zdaje się najniebezpieczniejszych — zauważył drugi — oczy ją zdradzają, że należy do gwiazd niestałych.

— To też nazywają ją złotowłosą kometą.

— Wielu zapewne na obliczenie niestałe go biegu tej komety musiało strawić wiele czasu i pieniędzy.

— Obecnie rujnuje się dla niej Hofrath Zehnmark Sprytna Polka zrobiła z poważnego Hofratha najpokorniejszego niewolnika swoich zachceń i kaprysów.

Jan wysłuchał tej rozmowy uważnie i zamiast rumienić się w duszy, że jest bratem kobiety, która kosztem uczciwości zyskała sobie rozgłos i tak błyszcząco świeciła hańbą swoją, żałował, że zerwał z nią wszelkie stosunkł, gdyż przy wpływach, jakie miała, mogła była być mu bardzo pomocną w jego karjerze. Chciał nawet dowiedzieć się o jej adres, by z tego skorzystać w razie potrzeby; ale że zbliżała się godzina, w której miał zejść się z Flichterem, więc rad nie rad musiał opuścić ogród, zachowując sobie zbliżenie się do siostry na czas sposobniejszy.

— Jeżeli należy do tak błyszczących gwiazd — rozumował sobie spiesząc do Bischofa — to będzie łatwo ją odszukać.

W ogrodzie zbliżyć się do niej nie chciał nie tyle z obawy skompromitowania się, jak raczej dla tego, że nie wiedział, czy Marynia chciałaby się przyznać do niego, zwłaszcza, że mogła żywić słuszny żal za to, że się jej wyparł. Kilka razy bowiem pisała do niego, chcąc zawiązać napowrót stosunki z domem. W listach tych nie prosiła o nic tylko o trochę pamięci i życzliwości. Pomimo świetnego powodzenia zbłąkana ta gwiazda zwracała się z utęsknieniem do rodziny, brak jej było rodzinnego życia, chciała napowrót zawiązać stargane węzły. Ale brat listy rzucał do kosza i nic na nie nie odpowiadał. W listach tych bowiem Marynia nic nie wspominała o swem świetnem powodzeniu.

— Gdybym był wiedział — mruczał sobie Jan — gdybym był wiedział... ale nigdy nie przypuszczałem, że ta dziewczyna tak sobie będzie umiała radzić. Straciłem na tem, można jej było nieraz korzystnie użyć. No, może jeszcze wszystko to da się jakoś naprawić.

I począł rozmyślać nad tem w jakiby sposób mógł się zbliżyć do siostry, wytłómaczyć jej, że milczenie jego nie było zapomnieniem ani wyrzeczeniem się jej; ale wypadło raczej z niefortunnego zbiegu okoliczności. Układał cały plan postępowania i komedji, jaką miał w obec niej odegrać, aby ją ułagodzić i ująć sobie. Myśli te tak go zajmowały, że zapatrzony w nie nie uważał, iż już minął uliczkę, na której znajdowała się piwiarnia Bischofa. Dopiero za bankiem narodowym spostrzegł się i wrócił na umówione miejsce.

W piwiarni było tłumno, gwarno, tak gwarno, że wśród ogólnej wrzawy pojedyńczych głosów rozróżnić nie można było. Widziałeś ludzi machających rękami, otwierających usta; ale słyszeć ich rozmowy nie podobna było. Wrzawa była jakąś potworną mieszaniną krzyków, rozmów, śmiechów, brzęku talerzy, dźwięczenia szklanek. Patrzącemu z góry ze schodów na salę oświeconą kilkudziesięcioma płomieniami gazowemi wydawało się to miejsce, jak jakiś fantastyczny ogród zarosły zamiast krzewów i kwiatów głowami i rękami ludzkiemi, które poruszały się koło gazonów, stolików okrągłych udekorowanych talerzami i kuflami pieniącego się piwa.

Janowi trudno było w tej masie odszukać swego znajomego. Błąkał się długo wśród stolików, rzucając oczami na wszystkie strony. Nareszcie dojrzał go w kącie za filarem siedzącego przy kuflu piwa. Porozumieli się oczami i Jan nie siadając nigdzie, bo miejsca nawet nie było, tak wszędzie nabite było ludźmi, wyszedł na ulicę a nie długo za nim wysunął się Flichter.

— Papiery nie wysłane jeszcze — rzekł tenże — patrzałem w dzienniku.

— Więc kto inny je wykradł

— I to nie. Dowiedziałem się przypadkiem, że zażądano ich do ministerstwa spwiedliwości i prawdopodobnie ztamtąd prosto pójdą do Krakowa.

— A ztamtąd nie dałoby się ich wydobyć? Niechby kosztowało jak najwięcej.

— Myślałem już o tem, a nawet robiłem już pewne kroki, ale napróżno. Papierów tych nie ma w biurze. Hofrath Zehnmark zabrał je do siebie.

— Hofrath Zehnmark? — spytał żywo Jan. Nazwisko to utkwiło mu w pamięci. słyszał je niedawno. Jan nie mógł ukryć radości swojej, że sprawa tak dobrze się układa, W tej chwili przyszła mu na myśl siostra i zaraz ułożył sobie, że przez nią zrobi to co chciał. Dlatego na wspomniane nazwisko Hofratha nie mógł powstrzymać radości swojej.

— Pan go znasz? — spytał Flichter.

— Nie; nie znam — odrzekł miarkując się Jan.

— To wielka figura. Tam nie da się już nic zrobić.

— To prawda.

— Cóż więc zrobimy.

— Sam jeszcze nie wiem. Muszę donieść o tem tym, którzy mi polecili ten interes. Jutro lub pojutrze będę u pana i naradzimy się, co i jak robić.

Mówił to dla uśpienia czujności i podejrzeń Flichtera. Nie miał zamiaru być u niego, był on mu już niepotrzebnym. Miał inne drogi, któremi mógł dojść do celu.

Następnego zaraz dnia dowiedział się o mieszkaniu siostry. Przebywała ona w ślicznej willi w Hitzing, którą jej kupił jakiś wołoski bojar. Znano ją pod imieniem goldene Mary vom Pohlen. Nazwiska jej rodzinnego nikt nie wiedział, zmieniła je bowiem za przybyciem do Wiednia.

Koło południa Jan wyjechał do Hitzing i zapytał o złotą Mary. Wskazano mu przepyszną willę w guście włoskim i poszedł tam. Lokaj wygalonowany, którego spotkał w przedsionku, oznajmił mu, że pani jest słaba i nikogo nie przyjmuje. Jan kazał mu powiedzieć pani, że brat jej przyjechał i chce się z nią widzieć.

To oświadczenie skutkowało.

Za chwilę wyszedł lokaj z pokojów i oświadczył, że pani prosi.

Otworzył drzwi i wpuścił Jana do saloniku umeblowanego z wielkim zbytkiem i elegancją. Miękki, perski dywan zakrywał posadzkę, obicia na ścianach i meblach były również w guście perskim. Wielkie zwierciadła otaczały klomby kwiatów egzotycznych. Ten przepych olśnił Jana, imponował mu i uczynił nieśmiałym. Figura jego odbita w zwierciadłach wydawała się niepoczesną w tem otoczeniu. Lokaj daleko lepiej się prezentował, niż on.

Drzwi do drugiego pokoju były otwarte, lokaj wskazał mu, aby tam poszedł.

Była to sypialnia Marji, cała wybita dywanami w duże kwiaty na błękitnem tle. Meble również były niebieskim atłasem wybite a ramy zwierciadeł równie jak stolarskie wyroby na meblach były z białego drzewa misternie rzeźbione z brzegami pozłacanemi. Na otomance pod oknem leżała w białym tiulowym negliżu mieszkanka tego uroczego ustronia.

Jan wszedłszy do tego pokoju zatrzymał się przy drzwiach, nie śmiał dalej przystąpić; czuł się skrępowanym, zażenowanym w obec siostry.

Marynia podniosła się na otomance i wsparta na łokciu spojrzała na przybyłego. Nie wiedziała, który z braci ją odwiedzał; przypuszczała prędzej, że to Józef. Zjawienie się Jana było dla niej niespodzianką.

— A to ty? — spytała z lekką ironją — przypomniałeś sobie przecież o mnie. Może

*

dla tego, że potrzebujesz czego odemnie. Nie prawda. Pewnie ci się źle powodzi. Dowiedziałeś się, że jestem bogatą i dla tego przyszedłeś.

— Wsparcia nie potrzebuję — odrzekł Jan — mam pieniądze i stanowisko jakie takie. Jestem adwokatem Przyjechałem do Wiednia a dowiedziawszy się, że tu jesteś, chciałem cię odwidzić. Widzę, że się źle wybrałem.

To powiedziawszy zrobił ruch, jakby zabierał się do wyjścia. Marja zerwała się szybko i zatrzymała go.

— Daruj mi — rzekła to cierpkie powitanie. Mogłam mieć słuszny żal do was. Takeście się wszyscy odsunęli odemnie.

— Nie wiedzieliśmy gdzie jesteś.

— Jakto? Nie odbieraliście moich listów? Jan ruszył ramionami.

— Ja przynajmniej, nie.

— A ja byłam pewną, że nie chcecie mnie znać. To było mi bardzo przykro, bom potrzebowała od was jakiego dobrego słowa. Dopiero żyjąc wśród obcych zrozumiałam, czem jest rodzina. Nie wiem jak dla was mężczyzn; ale my kobiety potrzebujemy rodziny i brak jej dotkliwie czuć się nam daje. Widzisz — mówiła dalej — że mi tu nie zbywa na niczem. a jednak to wszystko nie wystarcza mi do szczęścia. Szczęście moje tak jak kwiaty w tym bukiecie — tu wskazała na śliczny bukiet w chińskim wazonie pod lustrem — świetnie i efektownie wyglądają, ale brak im ziemi rodzinnej, zamiast korzeni mają sztuczne pręciki, na których zwiędnąć muszą i ci, co się na chwilę zachwycają niemi i bawią, wyrzucą je na śmiecie. To moje życie. Ale nie mówmy teraz o tem. Chodź, usiądź tu przy mnie i powiedz mi, co tam u was słychać? Co porabia matka, ojciec, Józio? Czy zdrowi.

— Ojciec jest przy mnie — rzekł Jan. — Z Józefem mało się widujemy, nie wiem czy wiesz, że został stolarzem.

— Więc został nim?

— Pomimo woli ojca.

— Kto wie czy nie lepiej zrobił. I jakże mu się powodzi?

— Podobno nie źle. Matka jest przy nim.

— Tak, to był zawsze jej ulubieniec. Musi jej być dobrze przy nim. Wiesz, nieraz przychodziło mi na myśl pojechać do was, zobaczyć się z wami, nawet miałam chęć wziąć matkę do siebie, ale...

Tu zatrzymała się, szukała słów na powiedzenie tego, co chciała, po chwili rzekła.

— Matka by pewnie nie zgodziła się na to; jej by tu może... może nie podobało się wiele u mnie.

Po tych słowach zapadła w posępne zamyślenie, z którego jednak wnet się otrząsnęła i znowu poczęła zarzucać go nowemi pytaniami. Między innemi spytała o Teklę.

— Co się z nią stało?

— Nie wiem. Podobno poszła za mąż nawet zdaje mi się, że za Józefa.

— Szczęśliwa! — rzekła z westchnieniem Marja.

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

I.

Jan Matejko.

Pisząc roku zeszłego o dziełach Artura Grottgera, powiedziałem między innemi, że ilekroć mamy przed sobą jakie dzieło sztuki, powinniśmy najpierw zmierzyć skalę jego pomysłu, następnie zapytać, czy wykonanie pod względem charakterów i ugrupowania odpowiada pomysłowi, a nakoniec przypatrzeć się stronie technicznej. Tą samą drogą pójdę i tym razem, uważając podział na te trzy części za niezbędny. Rzadko znajdziemy artystę, któryby we wszystkich tych kierunkach był zarówno potężnym; najczęściej bowiem zdarza się, że ten ma pomysły niepospolite, tamtemu brak wielkiej idei, lecz za to umie figury tak charakteryzować i grupować, że robi zajmującą scenę nawet codzienną, a inni znowu pozbawieni obu pierwszych warunków, władają świetnie tylko linją, kolorem, światłem i cieniem. Ci ostatni są mistrzami techniki. Tych w Europie liczymy już na setki, a najbieglejsi między nimi żyją we Francji. Malarz, który we wszystkich tych kierunkach jest zarówno wielkim, nazywa się *genjuszem* w dziedzinie malarstwa; ale komu brak choćby jednej z tych rzeczy, ten będzie tylko *genjalnym*. Zdaniem mojem w inny sposób nie można określić znaczenia obu tych wyrażeń, które po dziś dzień są używane dowolnie, jakby między niemi nie było różnicy. W ciągu niniejszej rozprawy niejednokrotnie wrócę do tego przedmiotu, aby wykazać słuszność naszych zapatrywań.

O pomysłach Jana Matejki mówiliśmy dość obszernie, i przyszliśmy do przekonania, że Mistrz krakowski jest w nich *genjalnym*. Teraz zajmiemy się wykonaniem.

Pomysł jest rzeczą ważną, ale nie wszystkiem jeszcze. Pomysł trzeba odpowiednio wykonać, to znaczy, że im on ważniejszy, tem znakomitsze powinno być wykonanie. Podnioślejszej muzyki, bieglejszej orkiestry i głośniejszej sławy śpiewaków wymaga opera bohaterska, aniżeli drobna operetka; piękniejszych charakterów, ważniejszych motywów i znakomitszych artystów, żąda poważna tragedja, aniżeli farsa sceniczna. Myśl drobna — to wieśniak nie zbyt myślący i w siermiędze; wielka to zadumany król lub wódz w stroju błyszczącym od drogich kamieni.

Zastanawiając się nad wykonaniem dzieła sztuki o treści historycznej, historyczno-rodzajowej, lub rodzajowej tylko, należy zapytać, czy artysta wprowadził osoby żywe i scharakteryzowane odpowiednio do wybranej chwili, następnie czy je ugrupował tak, jak tego akcja wymaga, tj. czy obraz tłumaczy się sam przez się i czy główny bohater nie jest przygłuszony przez postacie podrzędniejsze, gdyż w razie przeciwnym nie byłoby harmonji; nakoniec, czy wszystko dobrze wyrysował i wymalował, nie zapominając także o architektonice miejscowości, gdzie odbywa się działanie.

Przystąpmy do pierwszej części naszego założenia,

Między wszystkimi malarzami naszej epoki, a z ich grona nie wykluczam ani Pawła de la Roche, ani Kaulbacha, nie widzę żadnego, któryby Matejce dorównał w tworzeniu i charakteryzowaniu poszczególnych indywidualności. Każda jego głowa myśli i ma charakter odrębny; każda z jego postaci jest całością zamkniętą, niewymagającą komentarza. Dajcie głos jego ludziom, a powiedzą wam w krótkich słowach jakimi są właściwie. Nie tylko w oczach, na czołach, w ustach, ale często nawet w układzie rąk i nóg czytamy ich charakter. To są ludzie z krwi, kości i ducha.

Ale nietylko żywych ludzi daje nam Matejko. Jego bohaterowie są równocześnie skończonemi typami. Wielkie postacie naszych królów, wojowników, kapłanów, uczonych, zaklęte potęgą jego talentu opuszczają kamienne sarkofagi, w których od wieków spoczywały, aby stanąć przed nami w dawnej powadze i okazałości. Za życia oni inaczej nie mogli wyglądać! Słyszałem jak zawistni zarzucali Matejce, że jego bohaterowie są portretowanemi osobistościami, żyjącemi wśród nas, w naszem społeczeństwie. Szczególny zarzut! A czyż wy wiecie, że najpierwsi artyści robili to samo? Sztuka w tym razie polega nie na portretowaniu niewolniczem, czego Matejce nikt nie zarzuci, lecz na właściwem przeistoczeniu osoby portretowanej, a to Matejko właśnie czyni. Dla tego być może, że głowa Adama Ponińskiego (*Rejtan*) jest w części głową jakiejś pijaczki krakowskiej, ale artysta tak ją zmienił, uzupełniając stosownie do swojej idei, że stała się własnością pijaka, cynika i zdrajcy. Każda z Madon Raffaela przypomina jego Fornarinę, a mimo to każda jest Madoną — żadna Fornariną. Portretujcie zatem i wy, ale dajcie nam takich ludzi!

Tom, olbrzymi tom musiałbym chyba spisać, gdybym chciał wszechstronnie wytłumaczyć każdą z tych licznych postaci, które podziwiamy na płótnach mistrza krakowskiego. Nie chcąc atoli przekraczać ram niniejszej rozprawy, poprzestanę na kilku wybitniejszych.

Spojrzyjcie na tego Skargę! Wszak to nie człowiek prawie, ale niby Bóg zagniewany, który na głowy lekkomyślnych i grzesznych słuchaczów rzuca groźby i pioruny. A ten Stadnicki, wpatrujący się na pół zuchwale, a na pół z przerażeniem w każącego kapłana, czyż to nie awanturnik na wskróś, którego słusznie *djabłem* za życia nazywano, awanturnik zuchwały, lecz jak całe jego społeczeństwo zabobonny także, który w duchu lęka się kary, jaką Skarga zapowiada? Ten w pośrodku siedzący Zygmunt III. nie jestże na pozór tylko spokojny, jak królowi przystało, stojący za nim Wolski czyż to nie dworak do szpiku i kości, a ten w głębi Jan Zamojski, wznoszący się tak majestatycznie na odosobnieniu, alboż to nie wielki mąż stanu, którego rola dziś skończona, który zszedł już z widowni działania!

Kto wzrokiem rzuci na Rejtana, pozna w nim bohatera napróżno usiłującego oprzeć się dokonaniu zbrodni haniebnej; w Potockim mamy wzór nie zepsutego jeszcze młodzieńca, który mógłby być dobrym, gdyby nim dobrzy ludzie kierowali; w Ponińskim skończonego zdrajcę, a w tym możnowładzcy, któremu pióro z drżącej wypadło ręki, takiego starca, jakim Potocki jest młodzieńcem...

Batory to dumny monarcha, który wroga pobił; Possevin to Jezuita-dyplomata; Naszczokin to chytry Moskal, który korzy się teraz, ale za chwilę, gdy na siłach się poczuje, jak tygrys

rzuci się pierwszy na tego, przed którym niedawno wybijał pokłony — a ten w głębi żołnierz moskiewski, to wódz pobity, ale nie podły!...

Chodkiewicz załamujący ręce, gdy w pośrodku sali przedstawiciele dwóch narodów zaprzysięgają Unję Korony z Litwą, to mąż wielkiego charakteru i zasad niezłomnych; Radziwiłł Rudy, wprawdzie nie tęga głowa, ale dzielne serce, umiejące dochować wiary zaprzysiężonej, i waleczne ramię zdolne pokonać Moskali w Inflantach; Zygmunt August z krzyżem do góry wzniesionym, to król dobry, rozumny i szlachetny, ale przeciwnościami życia nadto skołatany człowiek — a ten wchodzący wieśniak, to przedstawiciel pracy, którego zachwyca widok tych wielkich godów narodowych!...

Czy mówić mam jeszcze o tym Stańczyku, który cierpi za naród cały, i o tym Kochanowskim, który cierpi za wszystkich ojców na ziemi? Dość tych przykładów, bo kto okiem rzuci na płótna Jana Matejki, ten wraz ze mną przyznać musi, że wypełniają je ludzie, tylko ludzie żywi, że bezdusznego manekina nigdzie nie ma, i że każda z działających osób ma charakter odrębny.

Nie powiem atoli, by ten charakter był zawsze zgodny z chwilą, w której się objawia, by wraz z nią tworzył jedną całość i należycie ją tłumaczył.

Ten starzec klęczący, który w *Unji* przysięga na ewangelję, to starzec nadto obojętny w chwili tak ważnej i dziejowej; stojący przed nim Zygmunt August nadto zbolały i znękany, a przecież on dokonał dzieła tak ważnego, jak połączenie dwóch wielkich narodów; Zamojski za Bątorym bardzo poważny, ale za mało myślący; Batory sam dumny wprawdzie, ale jakby na pół śpiący; w *Rejtanie* jest kilka figur na lewo, których dusze w gwałtownej scenie, odbywającej się przy drzwiach, najmniejszego nie biorą udziału; Barbara, tuląca się do królewskiego kochanka, to kobieta zmysłowa, lecz nie idealna, jaką nam tradycja przekazała, i jaką bez wątpienia chciał nam pokazać artysta — a Sędziwoj, to nie alchemik, pokazujący złoto, lecz jakiś bohater mogący świat zadziwić rozumem i siłą działania. Jeżeli utwory Mistrza krakowskiego są czasem niezrozumiałe, jeżeli myśl przewodnia nie zawsze jasno z nich występuje, krótko mówiąc, jeżeli kompozycja jest u niego czasem rozbita, nieharmonijna, odpowiedzialność za to cięży w wielkiej mierze na takich postaciach, których myśli nie łączą się ściśle z całością.

Przypatrzmy się teraz ugrupowaniu.

Jak w dramacie pisanym, tak i w kompozycji na płótnie szukamy najpierw głównego bohatera, który potęgą swego charakteru powinien wznosić się ponad całe otoczenie, i dokoła którego musi wszystko wirować. Inne osoby działają tylko dla niego. Tak pojęty i wykonany główny bohater wypowiada jasno myśl, służącą za tło kompozycji. Jeżeli na jednem płótnie jest kilku bohaterów równorzędnych, lub jeżeli obraz rozdziela się na sceny, nie połączone ściśle jedną nicią przewodnią — wtedy całość wygląda rozbita, a widz długo błądzi wzrokiem, zanim artystę zrozumie. A choć go w końcu i zrozumie, odchodzi jednak dość niezadowolony, mówiąc, że ten obraz nie zrobił na nim wrażenia. I nie mógł go zrobić, bo wrażenie nie jest uczuciem wyrozumowanem, ale błyskiem tajemniczym, który w jednej chwili wpada przez oko do duszy.

Prócz jednego *Skargi*, żadna z historycznych kompozycji Jana Matejki, nie robi pełnego wrażenia. Skarga jest prawdziwym bohaterem, na którego oko najpierw pada, przy którym myśl dłużej się zatrzymuje, który niezrównanym wyrazem twarzy, piorunującem rąk podniesieniem i układem ciała tłumaczy myśl autora; a jeżeli dodamy że każdy z otoczenia żyje tylko dla niego, słuchając go mniej lub więcej uważnie, stosownie do swojej indywidualności — to zrozumiemy, dla czego ta kompozycja nie wymaga komentarza. Ponieważ sama się tłumaczy, więc zrozumie ją tak dobrze Polak, jak każdy cudzoziemiec. Prócz jednego Pocieja, w *Skardze* nie ma więcej postaci oderwanych, nie należących do całości. Ugrupowanie jest tu prześliczne, a chociaż słuchacze dzielą się na siedm grup wybitniejszych, czuć między nimi związek duchowy.

Mniej szczęśliwie powiodło się Matejce ugrupowanie w innych kompozycjach. *Unja* nie ma bohatera. Starzec w środku z ręką na ewangelji główną osobistością być tu nie może, a król Zygmunt August nie jest nią niestety, gdyż jaskrawe kolory, oblewające jego czarną szatę, usunęły go na drugi plan. Prócz tego wyraz jego twarzy, na co już powyżej zwróciłem uwagę, jest nadto znękany, a więc brak jego głowie tej potęgi, której potrzeba do zapanowania nad otoczeniem tak poważnem, jak ci przedstawiciele dwóch wielkich narodów. Oko szukając napróżno głównej osoby, pada wreszcie na wieśniaka, którego oblicze tak jest znakomicie scharakteryzowane, że mimo woli nasuwa się pytanie: miałżeby to być bohater? A przecież wieśniak odgrywa tu rolę tylko drugorzędną. Po braku bohatera, poszły w Unji niedostatki w całem ugrupowaniu. Przysięga rozpoczęta — król stanął z krzyżem do góry wzniesionym — chwila nad wszelki wyraz uroczysta — mucha w powietrzu brzęknąć nie powinna... A tymczasem co się dzieje w sali? Oto wieśniaka wprowadzają za rękę, jakby tego przed pół godziną nie mogli byli uczynić; ten na przedzie dopiero myśli ukląknąć, a drugi mu w tem z uśmiechem pomaga; za Hozjuszem, który wyciągniętemi rękami już błogosławi, magnat o ponurem spojrzeniu oparł się tak wygodnie, że z prawdziwą przyjemnością wyprowadzilibyśmy go za drzwi; a wreszcie ten paź ukląkł tak pretensjonalnie, że dziwić się musimy, dla czego na dworze Zymunta Augusta paziów tak źle wychowywano. Chwilę całkiem spokojną, i nad wszelki wyraz uroczystą, Matejko chciał ruchem ożywić, a tłokiem osób usiłował zastąpić uroczystą powagę, i tem według naszego przekonania zaszkodził kompozycji.

W *Batorym*, podobnie jak w *Unji*, szukamy także długo bohatera, zanim go znajdziemy. Pierwszą osobistością, która nas uderza, jest Naczczokin w białym, atłasowym stroju, a dopiero gdy się jemu dobrze przypatrzymy, szukamy króla, który siedzi gdzieś na końcu. Artysta tak nisko go posadził, a tak potężną postawił za nim figurę Zamojskiego, przed nim zaś tak piękną i smukłą postać Possevina, że Batory znalazł się między nimi jak krzew między drzewami, i gdyby nie płaszcz złocisty, który mu ramiona okrył, kto wie czybyśmy do niego nie przyszli dopiero na samym końcu, po przypatrzeniu się wszystkim innym głowom. Gdyby król, zwłaszcza że był wzrostu niskiego, usiadł był więcej w środku i na niejakim podwyższeniu, majestat jego byłby na tem nic nie stracił, a kompozycja byłaby o wiele zyskała. Tymczasem tak jak jest teraz, Naszczokin odrywając się od swoich towarzyszy i występując w konturach zbyt wybitnych rozbija, całość, tworząc z siebie samego jeden obraz, a dopiero drugi z króla i jego otoczenia.

Największe rozbicie, chaos prawdziwy panuje w *Rejtanie*. Tu leżący bohater całkiem prawie zginął, tak go przygłuszyli Potocki i Poniński. Szczególnie pierwszy w tak świetnych rysuje się konturach, i tyle ma myśli na młodej twarzy, że widz od niego prawie wzroku nie odrywa i z żalem zapytuje: czemu ten młodzian nie jest bohaterem? Magnat zrywający się w pośrodku jest skończoną i zamkniętą w sobie kompozycją; ci dwaj po jego prawej stronie są nowym obrazem, który z Rejtanem niema nic wspólnego, a król z zegarkiem to także całość odrębna. W skutek tego rozbicia, kompozycja stała się prawie alegorją, której nikt nie zrozumie bez obszernego komentarza w ręku. Jeśli mimo tych wad w ugrupowaniu, *Rejtan* robi wrażenie, zawdzięczamy to niesłychanej sile, z jaką artysta ucharakteryzował poszczególne osobistości, i prawdziwie dramatycznemu ruchowi, który w jednę całość łączy tę salę pomieszaną chaotycznie.

Pomysły do obrazów historyczno-rodzajowych, wykonał Matejko prawie zawsze wzorowo, z wyjątkiem *Zygmunta i Barbary*. Spodziewaliśmy się szlachetnego kochanka, którego nielegalna miłość niepokoi, a tymczasem mamy człowieka, którego głowa myśli i cierpi, lecz którego cała postawa mówi, że ta miłość nadto go już zmęczyła, że mu jej za wiele. W Barbarze spodziewaliśmy się zobaczyć kochankę szlachetną, o sercu wzniosłem, a tymczasem widzimy kobietę, która chyba nadtem myśli, jakby najczulej popieścić swego Zygmunta. To nie Zygmunt i Barbara, to coś, czego zrozumieć nie można. Pomysł tak błędnie został tu wykonany, żo gdyby nie świetna technika, i nie głowa Zygmunta, która wycięta z obrazu, stanowiłaby sama niezrównane arcydzieło, nikt by nie przypuścił, że tę kompozycję stworzył i wykonał Jan Matejko.

Gdyby mnie zapytano jaka może być przyczyna, że artysta tak genjalny w pomysłach i technice, okazuje się często mniej potężnym, *niegenjalnym* w wykonaniu swojej idei, musiałbym odpowiedzieć, że pochodzi to z braku dokładnej znajomości wzorów klasycznych. Matejko chcąc być wszędzie oryginalnym, unika widocznie tradycji sztuki włoskiej, która harmonję w układzie doprowadziła do doskonałości, a że sam *nie zdołał* wynaleźć własnego *działu złotego*, więc szamoce się w kole zaczarowanem. Wiedząc o niedostatkach swoich w tym kierunku, wprowadza tłumy osób, aby liczbą, nie harmonją, przestrzeń wypełnić; lecz że nie jest także panem perspektywy powietrznej, więc tłum ciśnie się, często zsuwając się za ramy. Oryginalność jego zyskała na tem, ale sztuka straciła. Wykonanie pomysłów pozostanie na zawsze piętą achillesową talentu Jana Matejki.

Jeśliby mi kto zarzucił stronniczość, lub błędne pojmowanie przedmiotu, to ośmieliłbym się zapytać z mojej strony: który z obrazów Matejki został przez ogół najlepiej przyjęty w fotografjach? Bez zaprzeczenia Skarga, a po nim zaraz Stańczyk, gdyż obie te kompozycje są najlepiej wykonane. Na fotografji nikną barwy, a pozostaje tylko układ i rysunek. Gdy układu nie ma, ogół przypatruje się fotografjom bez zachwytu. Dla tego ani *Unja*, ani *Batory* ani *Rejtan*, ani *Zygmunt* i *Barbara* nie doczekają się licznych reprodukcji.

Z kolei przyszliśmy do techniki.

(C. d. n.)

Kobiety w Algierze.

Napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

(Ciąg dalszy).

Po przybyciu na miejscu i rozłożeniu się obozem na polu przed wsią; dowódzca rozkazał żołnierzom mieć się na baczności, tylko częściowo rozkulbaczać konie i rozstawić wszędzie wedety, zkąd mógł pokazać się nieprzyjaciel.

Raz gdy przyprowadził konia poić do fontany, obaczył tam młode dziewcze, wychudłe, wymizerniałe i biedno ubrane, które z towarzyszkami swemi przyszło po wodę. Była to Mariem. Z radośnym krzykiem przybiegła do młodego dowódzcy skarząc się mu na swoją dolę: macocha jej, która do pełnoletności Mariem rządziła plemieniem, bardzo źle z nią się obchodziła, biła ją, morzyła głodem i nawet odmawiała potrzebnego odzienia.

— Uspokój się moje dziecko, wróć teraz do domu macochy i powiedz jej, że ja ją proszę, żeby się opamiętała, bo inaczej przyjdę zażądać rachunku od niej, lecz gdyby źle obchodzić się z tobą nie przestała, napisz do mnie słów kilka, a ja przyślę po ciebie i przejdziesz do mego namiotu na mieszkanie.

Po dniach kilku przybiegł do Ferranda wierny sługa ojca Mariem, przynosząc mu list uwiadamiający, że słowa jego nie poskutkowały i że macocha jeszcze gorzej zaczęła obchodzić ze swoją pasierbicą. Dowódzca wybrał z oddziału kilku ludzi odważnych, kazał im znienacka otoczyć dom zmarłego Kaida i uprowadzić Mariem, robiąc jak najmniej hałasu. Tegoż wieczora Mariem wstąpiła do mieszkania swego zbawcy, który rozdzieliwszy namiot swój na dwie części, jedną oddał dziewczynie do użytku.

Rozjątrzona takiem pogwałceniem pokoju domowego, macocha Mariem obiegła plemię powołując je do zemsty. Wszyscy chwycili się za broń i powtarzanemi wycieczkami we dnie i w nocy niedawali pokoju oddziałowi francuskiemu. Już kilku ludzi zginęło, oddział był słaby, potrzeba więc było albo odstąpić albo energicznie zaatakować powstańców, nim pomoc z gór im nadejdzie. Ferrand zdecydował się na to ostatnie. Droga do wsi prowadziła przez wąwóz tworzący kilka razy kolano. Gdy już wszystko było gotowe do wymarszu, wbiegła Mariem do namiotu dowódzcy, zaklinając go na wszystko, aby nie jechał na czele oddziału, lecz wysłał mocną awangardę dla zbadania wąwozu, bo tam znajduje się zasadzka czyhająca na życie dowódzcy. Ferrand posłuchał dziewczęcia i przekonał się, jak była słuszną jej rada. Kilkunastu kabilów skrytych za krzakami i kamieniami przywitali oddział rotowym ogniem; lecz Francuzi przygotowani także do ataku rzucili się naprzód i wszystkich w pień wycięli. Po powrocie z wyprawy, Ferrand wszedł do namiotu dziewczyny i dziękując jej za radę, zapytał, zkąd dowiedziała się o tej zasadzce.

— Podsłuchałem wczoraj rozmowę moich krewnych, zebranych w parowie i postanowiłam uratować ciebie.

— Lecz odkrywając ich zamiar narażałaś krewnych swoich na pewną zgubę, cóż cię powodowało do tego?

— Czyż ty dotychczas nie poznałeś mnie Robercie? — odpowiedziało dziewczę, rumieniąc się. — Czyż ty nie widzisz — rzekła z uniesieniem charakteryzującem mieszkańców południowych — że jesteś droższym dla mnie nad wszystkich krewnych i braci, żeś dla mnie ojcem, bratem, i wszystkim! Czyż ty nie widzisz, że Mariem ciebie kocha nad wszystkie dobra, nad wszystkich ludzi, nad życie swoje nawet! — Ze zbytku uczucia Mariem mówić więcej nie mogła lecz padłszy przed nim na kolana z płaczem zaczęła całować ręce jego. Wzruszony, wstrząśniety do głębi duszy młody dowódzca podniósł ją, przycisnął do serca i po raz pierwszy poczuł, że ją kocha wzajemnie.

Już cały rok wojna toczyła się uporczywie. Oddział p. Ferrand znacznie powiększony stał ciągle około Schyfu. Dowódza czas wolny od prac wojennych poświęcał wychowaniu ulubionej kobiety, którą w obliczu świata chciał nazwać żoną swoją. Mariem była nadzwyczaj pojętną i w krótkim czasie zaczęła mówić czytać i pisać po francusku. Z zadziwiającą łatwością nauczyła się historji i geografji, tyle ile jej ulubiony mógł ją nauczyć. On codzień przywiązywał się do niej serdeczniej, odkrywając w swojej Mariem nowe talenta, nowe zdolności. Jedna myśl go trapiła: Mariem była tatuowaną na czole policzkach i rękach małym błękitnym krzyżykiem według zwyczaju kobiet arabskich północnej Afryki. Jak przedstawić tatuowaną kobietę w wyższem towarzystwie do którego p. Ferrand należał? Ogarniała go bojaźń, żeby się nie stał pośmiewiskiem, żeby żona nie poczuła dotkliwie odrażającego piętna, któremu ulegała wchodząc do towarzystwa nieprzywykłego patrzeć pobłażającem okiem na zboczenia od zwyczajów cywilizowanego świata. Ferrand dowiadywał się wszędzie, czy nie ma środków dla zniszczenia tych fatalnych znaków, ale nikt mu nie mógł nic doradzić. Nie tracił on jednak nadziei.

Mariem nie podejrzewała nawet, co się dzieje w duszy jej kochanka, bo była przywiązana do niego wszystkiemi siłami młodego serca po raz pierwszy kochającego. Dziwiło ją czasem zamyślenie ukochanego Roberta, ale delikatność wrodzona arabskim kobietom, rozwinięta wychowaniem, nie pozwalała zapytać, co zajmowało umysł jej lubego, bo była zupełnie szczęśliwą gdy on gładził jej piękne włosy, gdy patrzał w jej ogniste oczy!... Kiedy czasami dowódzca udawał się na wycieczkę, zostawując obóz pod zasłoną części swego oddziału, Mariem modliła się żeby go Bóg wrócił jej zdrowego, stawiła świece przed grobem świętego człowieka w pobliskim marabu i rozdawała jałmużnę biednym.

Macocha Mariem pogodziła się z dziewczyną, odwidzała ją często w namiocie i upraszała, żeby powróciła do domu przynajmniej do czasu, póki wojna się nie skończy, obiecując obchodzić się z nią jako z żoną sidi (pana) swojego. Mariem jednak nie chciała rzucić swego ulubionego, bo miała nadzieję pozostać z nim na zawsze. Niestety! Inaczej zrządził los zawistny.

Ferrand otrzymał rozkaz od jenerała Bosquet przejść natychmiast z oddziałem w okolice Konstantyny i przygotować się na ekspedycję do Małej Kabilji. Dowódzca widząc niepodobieństwo zabrania z sobą Mariem, zgodził się na prośby macochy i nakłonił dziewczę do pozostania w domu rodzinnym dopóki nie otrzyma listu od niego że już wszystko skończone i że może przyjechać do Konstantyny na stałe mieszkanie.

Pożegnanie kochanków było bardzo czułe; wzajemnie złożono obietnice pisywania jak najczęstszego, wzajemnie złożono przysięgi pozostania wiernymi sobie na zawsze. Ferrand odjechał, a Mariem wróciła do domu ojca.

Wypadki wojenne prawie rok cały nie pozwoliły widzieć się kochankom. Co tydzień dowódzca pisywał listy do swej lubej, lecz nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. Z początku przypisywał to nieregularności poczty; lecz potem smutne przeczucia zaczęły mu malować obraz Mariem płaczącej, tęsknej, chorej, dręczonej zemstą macochy, lecz nigdy, ani na chwilę nie zwątpił o jej miłości i o jej wierności.

Nie mogąc przezwyciężyć niepokoju, prosił jenerała Bosquet o naznaczenie go dowódzcą oddziału, który występował ku stronie Schyfu. Bosquet wiedząc o jego serdecznej słabości, przychylił się do tej prośby, Można sobie wyobrazić z jaką niecierpliwością spieszył do kochanki. Droga zdawała mu się nieskończoną. Zbliżając się do wsi, w której mieszkała, dowiedział się, że partja Kabilów w niewielkiem oddaleniu czeka na Francuzów z zamiarem stawienia im czoła. Uszykowawszy więc oddział do boju, z małą awangardą wstąpił do wsi i zbliżył się do domu, gdzie mieszkała jego Mariem. Lecz nikt nie wyszedł naprzeciw z radośnem od niej pozdrowieniem. (dok. n.)

Starożytność kuli ziemskiej
i
nieco z dziejów jej rozwoju.

Przez

Dr. F. H. Kleina.

(Ciąg dalszy.)

Najbliższą, dość rozwiniętą gromadą, ostatnią w formacji drugorzędowej, jest kredowa. Temu to okresowi zawdzięczamy używaną dziś do pisania białą kredę, jakkolwiek nie można z pewnością utrzymywać, że w gromadzie tej zawarta tylko kreda. Biała kreda składa się z pancerzy drobnych żyjątek morskich, dostrzegalnych tylko za pomocą mikroskopu a zwanych Foraminiferami. Utworzyła się ta massa czy osiadła na dnie morza. Jeżeliż zechcemy być konsekwentni, to przekonawszy się, że początek ma kreda w morzu, musimy zgodzić się na twierdzenie, że wszystkie także miejscowości, w których dziś kredę znajdujemy, musiały być zalane wodą morską. Pokłady kredowe zajmują rozległe przestrzenie, gdyż napotykamy je w północnej Anglji, w północnych Niemczech, tudzież w większych jeszcze rozmiarach w środkowej Rosji. Ułożono nawet mapy, objaśniające dokładnie przestrzeń, którą zajmowało dawne „morze kredowe.“

Nie przypuszczamy jednakowoż, by ktokolwiek wyobrażał sobie owe morze kredowe jako ocean przesycony zgęszczoną masą kredy lub też pływającą w większych okruchach. Było to sobie morze jak każde inne, zapewne wielkie ale na zewnątrz nie różniące się niczem od reszty mórz; a że w niem właśnie urodziła się kreda, to stało się to w skutek rozwoju organicznego owych żyjątek morskich, zwanych Foraminiferami. Toż samo życie organiczne żyjątek ukrywa się dziś w oceanie Atlantyckim, i gdyby kiedyś w dalekiej przyszłości wysechł, lub gdyby wyłoniły się zeń wyspy olbrzymie, to ujrzelibyśmy i tu wspomnianą formację kredową.

Cóż nam dalej ukazuje gromada kredowa, jakie stworzenia? Znowu potwory morskie, odmienne kształty jaszczurów, liczniej występują-

cych, co jest dowodem, że wiodło się im podówczas wcale nie źle. W gromadzie tej pokładu białego spotykamy mnóstwo zębów rekina; świadczy to o wykonywanem bardzo gorliwie rzemiośle krwawem już podówczas tego zbójeckiego plemienia. Nie znaleziono natomiast w kredzie żadnych szczątków zwierząt ssących lądu stałego. W gromadzie kredowej bardzo także skąpo szczątków roślinności.

Szkoda tylko, że nie podobna oznaczyć, jak długo trwał rozwój gromady kredowej. Był to bezwątpienia okres bardzo długi, z tą jedynie różnicą że w niektórych okolicach trwał dłużej a w innych krócej. Kilka warstw pokrywa tę gromadę, którą powszechnie poczytują za potrójną, sformowaną w trzech czasu perjodach. Warstwy te ukazują się w najrozmaitszych postaciach i są po większej części natury lokalnej, czyli nie pojawiają się wszędzie w kredowej formacji. Kształt ich jaskiniowy a zasługują na uwagę ze względu na znajdujące się tam nie rzadko resztki zwierząt ssących, dziś zatraconych zupełnie.

W najgłębszych warstwach gromady Tryasowej znajduje się węgiel brunatny, którego rodzicielką, jak i starszego odeń brata kamiennego węgla, jest roślinność przeważnie. W wielu miejscowościach wypływa z tych pokładów na powierzchnię ziemi także olej skalny (Bitumen). W pokładach węgla brunatnego znaleziono szczątki jakiegoś olbrzymiego zwierza, które francuski badacz *Cuvier* nazwał *Palaeotherium*. Powierzchownością swoją przypominało to zwierze dzisiejszych czasów tapira, było jednak o wiele większe, a niektóre odmiany roślejsze nawet od konia. Inną jeszcze odmianą zwierzęcia Palaeotherium było Anoplotherium z gatunku przeżuwających, wielkości dzisiejszego osła. Nie mniej uwagi godnym jest wieloryb, którego mnóstwo szczątków znaleziono w niektórych Stanach północnej Ameryki. Długość tego potworu niezwykłego musiała dochodzić co najmniej stóp 60. Przywiózł je do Europy pierwszy, niejaki pan A. Koch. Jegomość ten musiał być widocznie nadewszystko przemysłowcem, gdyż wpadł na oryginalny pomysł sklecenia z wielu szkieletów, jednego, olbrzymich rozmiarów. Myślał zapewne, że im większych rozmiarów okaz potworu, tem żywszy wzbudzi interes. Jakoż trafnie spekulował ten niemiecki Amerykanin! Dokąd się zwrócił, uprzedzały go zdumienie, podziw ogólny i reklama dziennikarska o jego cudownym *Hydrarchusie*. A kiedy przybył do Berlina, to na rozkaz Fryderyka Wilhelma IV musiała akademia tamtejsza zakupić ten utwór artystyczny, za grube pieniądze. Wspomniany pan Koch wziął tak znaczną kwotę, że na całą przyszłość swego żywota oswobodził się od żmudnego wygrzebywania kości odwiecznych potworów. Później zajął się znany ze swych prac J. Müller usunięciem wedle możności poczynionych przez spekulanta poprawek w szkielecie potworu. Umiejętne opracowanie ujęło nieco wielkości zwierzęcia, a jednak zawsze jeszcze przedstawiało ono szkielet długi na stóp 60 — stworzenie więc bądź co bądź rozmiarów olbrzymich.

Wszystkie wspomniane zwierzęta, jakoteż wiele innych odmian, o których mniej jeszcze wiemy, wymarły, zanikły zupełnie, dziś z nich ani śladu na ziemi.

Natomiast w skamieniałościach tego okresu znajdują się pomiędzy małżami (zwierzęta muszlowe) pewne odmiany podobne zupełnie do znanych nam dzisiaj.

Gromada więc tej formacji (z kolei trzeciorzędowej), jest jakby jutrzenką tego, co ma być, jest przepowiednią dzisiejszej fauny zwierzęcej. Ztąd też temu okresowi rozwoju ziemi nadał Anglik geolog Lyell nazwę *eocenicznej*, czyli przepowiednią tego co jest obecnem. Na tej gromadzie spoczęły wyższe inne warstwy, w których znajdowane muszle, jeszcze więcej mają podobieństwa do istniejących dziś na ziemi, i dla tego gromada ta otrzymała od wspomnianego już geologa nazwę *miocenicznej*, czyli zawierającej *mniej* tego co jest obecnie. Po tych następuje pokład *pliseniczny* czyli gromada zawierająca więcej tego co jest obecnie, a w stosunku do niżej położonych, najwięcej tego co jest obecnie. Ostatnia formacja, czwarto rzędowa i dwie jej gromady są najświeższemi. Zwą je geologowie *Diluwialną* czyli potopową, i *Aluwialną* czyli naplywową. Wszystkie najświeższe osady wodne, formacje piaskowe, gliniaste itp. nazywane są jednem mianem *Alluvium* i ztąd powyższa nazwa okres aluwialny.

Jednym nieomal skokiem przesadziliśmy wieki łączące pokłady eoceniczne z teraźniejszością, w której występuje już człowiek zupełnie uformowany i rozpoczynają się dzieje ludzkości.

Ale ileż to czasu upłynęło od owej jutrzenki zwiastującej zaledwo niedokładnemi rysami to co jest, co przyjść miało, do dni dzisiejszych!

Niezliczone mnóstwo zwierząt żyło i wymarło w tym okresie, postać lądu stałego uległa najrozmaitszym przemianom: w Europie dźwignęły się Alpy niebotyczne. Dopiero po zjawieniu się tego świata gór mogły powstać rzeki, które dziś w rozmaitych rozbiegają się kierunkach.

Za czasów gromady miocenicznej panowały na północnej półkuli upały podzwrotnikowe; wawrzynowe i palmowe drzewa ocieniały okolice stykające się prawie bezpośrednio z dzisiejszym biegunem północnym zakutym obecnie w twardą tarczę lodowców. Na przerażających dziś pustką Szpicbergach rozwijała się bujna, podzwrotnikowa roślinność, szumiały bory dębowe i bukowe, lipy i inne drzewa; i Grenlandja była podówczas krajem od zieloności prawdziwie szmaragdowym. Oczywista że z czasem zmieniło się wszystko.

Minęły piękne, w słońcu się kąpiące, ciepłe czasy i wieki a nastały czasy wielkiego zimna. Być może, iż wiadomość ta o nastaniu na całej półkuli wielkiego zimna, wyda się romantyczną, zwłaszcza gdy panowały podzwrotnikowe niegdyś upały — a jednak faktu zbić niepodobna. Perjod zimna czyli czas lodowców zaznaczył istnienie swoje tak samo dobitnie, jak okres wielkich upałów. Rozumie się, że wiele czasu ubiegło, zanim poznano się na cechach tego okresu.

Mnóstwo odłamów skał, zwanych także głazami błędnemi, pokrywa całą północną płaszczyznę Niemiec, napotyka się je rozrzucone i w Rosji, wszystkie zaś zdradzają pochodzenie swe od skamieniałości gór Skandynawskich. Otóż długo łamano sobie głowy nad zagadnieniem, jakim sposobem granity te rozproszyły się po dalekich płaszczyznach, oderwawszy się od gór Skandynawskich? W końcu rzecz wyjaśniła się w ten sens, że to massy lodowate były lokomotywami i wozami tych głazów. Północne Niemcy bowiem za czasów lodowatego okresu stały pod wodą, Skandynawia była jednolitą massą lodową, podobnie jak Groenlandja, gdzie zwieszają się ze skał ogromnych rozmiarów lodowce. Lodowce te załamywały się u podstawy i tworzyły góry lodowcowe. Jeszcze i dziś napotkać można podobne góry lodowcowe na gościńcu Davis'a w arktycznej Ameryce. Massy tego lodu obciążone głazami i kamieniami, niosąc niekiedy we wnętrzu swojem niedźwiedzi i lisów podbiegunowych, płyną w kierunku południowym, dopóki ich słońce nie stopi, a wówczas zawarty w nich ciężar spada na dno morza. Gdyby kiedyś część północno-zachodnia oceanu Atlantyckiego odkryła dno swoje w skutek może wyschnięcia, to i tam znalezionoby głazy błędne, podobne do tych, jakie dziś zalegają płaszczyznę Niemiec północnych.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

X.

Otwarta wojna z okolicznymi mieszkańcami.

Na domiar złego plemię Barysów było dla nas jakby rozsianem robactwem po kraju, nie dając nam spokoju, ani w dzień ani w nocy. W ciągłych zmowach, coraz nowe zawierając przymierza, napadali to na obóz, to na pasące się bydło, uprowadzając często jaką sztukę, przyczem kaleczyli, a nawet zabijali mi żołnierzy. Ludzie moi zatrudnieni ciągle jeszcze trwającą budową obozu, byli umęczeni dzienną pracą, i nocnem czuwaniem, nie mogłem zatem zebrać całej siły, aby dać porządną nauczkę niesfornym murzynom; rad nie rad musiałem odłożyć tę przyjemność na później. Oni tymczasem byli pewni, że ciągłem prześladowaniem wypędzą nas do Khartum.

Napady urządzają dzicy prawie zawsze nocą, kiedy ciemność zmniejsza niebezpieczeństwo strzałów z palnej broni; zatrzymują się oni w takim razie o jakie pół mili od obozu, który zamierzają zaatakować, kryjąc się w lesie lub wysokiej trawie, podczas gdy wysłane szpiegi, badają pozycje widet i ich czujność. Ludzie ci całkiem nadzy, czołgają się ostrożnie jak płazy, póki nie natrafią na straż, a obejrzawszy dokładnie całe położenie, wyślizgują się równie zgrabnie jak przyszli, aby udzielić potrzebnych wskazówek czekającym opodal towarzyszom. Po tym rekonesansie cały oddział w podobny sposób, jak przedtem szpiegi, na rękach i kolanach napada znienacka stojącą straż, a rozprawiwszy się z nią szybko, rzuca się z dzikim okrzykiem na obóz. Takie nagłe napady mogą być bardzo niebezpieczne przy niedostatecznej czujności, i w taki też sposób niejedna już kompanja handlarska została zniszczona.

Bierne odpieranie licznych zaczepek, zrodziło mniemanie, że nie czujemy się na siłach, aby urządzić wyprawę w głąb kraju, i wieść ta roznosząc się szybko między liczne plemiona, dała hasło do wielkiej koalicji. Barysi zapominając o urazach do sąsiednich Loquiów, wciągnęli ich do swego przymierza, obiecując, że gdy nas wygonią, podzielą się z nimi naszem licznem sta-

dem bydła. Abou Saood tymczasem ze swoimi ludźmi pozostawał ciągle w przyjaznych stosunkach z mieszkańcami tych okolic, zaopatrując w dodatku Belinian w amunicję, którzy zdaje się zapomnieli o moich przestrogach, bo łącząc się ciągle z Barysami z Gondokoro niepokoili nasz obóz.

Ustawicznie te utarczki, nużąc wprawdzie żołnierza, wyrobiły go jednak znakomicie, szczególnie mały mój oddział „czterdziestu złodziei,“ który początkowo zasłużył sobie na tę nazwę, ale teraz stał się moją chlubą. Wprawdzie zajmowałem się ich edukacją osobiście, ale za to rezultat był zadowalający; nie przebaczając najmniejszego przewinienia, starałem się w nich obudzić ambicję, i wyobrażenie o wyższości nad innemi pułkami, ustanawiając niejako kodeks honorowy, który kradzież uważał za czyn plamiący, sławę „czterdziestu.“ Tym sposobem pozbyłem się złodziei, chociaż nazwa została im się przez cały czas trwania ekspedycji.

XI.

Krokodyle.

Do wszystkich prześladowań naszych okolicznych nieprzyjaciół, zaczęły się przyłączać i krokodyle, które w Gondokoro są nadzwyczajnie złośliwe.

Mieszkańcy tutejsi przepływając często rzekę ze stadem bydła, przynęcili żarłoczne te zwierzęta, które korzystając z tak dobrej sposobności, przywłaszczają sobie ofiary z krów, cieląt, a często i pastuchów. Niedawno dwaj wioślarze z okrętu Abou Saooda zostali porwani, a moi ludzie nie byli także zabezpieczeni od styczności z tym groźnym wrogiem. Jeden z żołnierzy kąpiąc się ze swymi towarzyszami, ledwie zanurzył się po pas w wodę, został schwytany przez krokodyla. Wszczęła się rozpaczliwa walka; krokodyl uchwycił go za nogę poniżej kolana; żołnierz broniąc się wpakował palce w oczy potworowi; chwilę trwało szamotanie, towarzysze biedaka przyszedłszy mu w pomoc wyratowali go ze śmiertelnej paszczy, ale kość była tak zdruzgotana, że musiał poddać się amputacji. Innym razem kilku ludzi było zatrudnionych zbieraniem liści z rodzaju wodnego Convolvulusa, która to roślina zapuszczając korzenie w mieliznę brzegu, wyrasta po nad wodę, wydając śliczny kwiat, podobny do gwoździka, a liście jej przyrządzone jako szpinak, stanowiły specjał naszych objadów. Na ten użytek zbierając roślinę, jeden z wioślarzy przechyliwszy się nad brzeg rzeki, wyciągnął rękę po pływające liście; w tej chwili czyhający krokodyl chwycił go za ramię. Ludzie co razem z nim byli przyskoczyli szybko, a chwytając go wpół, oparli się zamiarom krokodyla, który usiłował swoją ofiarę wciągnąć do wody; lecz potwór raz zasmakowawszy krwi, nie chciał wypuścić ręki, a szarpiąc ją i gryząc, pracował tak długo, póki oderwana nie została w jego paszczy, z którą zadowolony się oddalił. Nieszczęśliwy ten człowiek, przyniesiony został do obozu w rozpaczliwym stanie; jęki jego były rozdzierające, a cierpienia wcale się nie skończyły, gdyż trzeba było jeszcze amputować zdruzgotaną część pozostałego ramienia.

Co do mnie, ohydnym tym potworom wydałem wojnę eksterminacyjną, za szkody i wyrządzane nam morderstwa. Wracając raz konno po objedzie z głównej kwatery do mej stacji, ujrzałem głowę krokodyla o jakie trzydzieści kroków od brzegu, gdzie woda była dość płytka. Na wprost niego wyrastała kępa wysokiej trawy, do niej też chyłkiem dobiegłem. Krokodyl nieruchomo spoczywał na małej wysepce, zwrócony do mnie, tak że mogłem swobodnie wymierzyć pod samo oko. Zaledwie strzeliłem, skok konwulsyjny oznajmił mi, że został trafiony; poczem przewracając się zwolna wyciągnął wszystkie cztery nogi nad wodę, w którą się był wsunął, pozostając bez ruchu w tej pozycji. Przywoławszy dwóch ludzi, co opodal stali, odwiązałem długą linę, którą zawsze miałem przy siodle, i wysyłając służącego z koniem do kwatery po pomoc, kazałem im tymczasem przewiązać sznur przez środek ciała, przytwierdzając do nóg, i tak ciągnąć krokodyla do brzegu, żeby nie uszedł przypadkiem z prądem wody.

Zwierzęta te mają bowiem życie bardzo twarde, i często gdy kula przeszywszy im mózg, śmiertelnie zrani, pozostają chwilę nieruchome, poczem instynktownie, czy leżą na piasku, czy na wodzie, ruchem konwulsyjnym ciała i ogona zanurzają się i giną porwane prądem; postrzelone trzeba zatem wczas przytwierdzać liną, lub wyciągnąć na brzeg.

Nasz krokodyl zdawał się także jak kamień nieżywy, zaledwie jednak parę chwil upłynęło, zaczął ruszać ogonem; moi ludzie ciągnąc za linę przestraszeni poczęli krzyczeć, że żyje, a ja na próżno starałem się przekonać ich, że zabity; stałem na brzegu, podczas gdy oni, po kolana w wodzie, znajdowali się o kilka tylko kroków od groźnego potworu, co wiele wpływało na różność wyobrażenia, jakie mieliśmy o jego żywotności.

Tymczasem krokodyl coraz silniej się szamotał, tak że połączone siły dwóch ludzi zaledwie go zdołały powstrzymać od zanurzenia się w głębszą wodę, aż w końcu począł jęczeć i płakać, co tak przeraziło moich ludzi, że byliby pewnie uciekli, gdyby nie moje groźby, które im z brzegu posyłałem. Wymierzywszy w bok, jedną go jeszcze uraczyłem kulą, która na czas jakiś, wywarła na nim skutek opjum; tymczasem przybiegli żołnierze z linami, lecz zaledwie zdołali przeciągnąć jedną przez cielsko krokodyla, gdy tenże ponownie zaczął się rzucać, ale tym razem połączonemi siłami wyciągnięto go już na brzeg, gdzie przyjąłem go silnem cięciem siekierki, która druzgocząc kość pacierzową, przecięła ostatnią nić jego grzesznego żywota.

Po przywleczeniu krokodyla do obozu, zmierzyliśmy zaraz jego długość, i okazało się, że miał 12 stóp i 3 cale od paszczy do ogona. Żołądek podpadł także skrupulatnemu badaniu, i oprócz pięciu funtów kamyków, które połknął widocznie razem z mięsem, znajdowały się w nim niezaprzeczone dowody ludożerczych czynów, których dopuścił się ten zbrodniczy potwór. Naszyjnik i dwie bransolety, jakie noszą młode murzynki, zostały znalezione między szczątkami jego biesiad.

Często zdarzyło mi się widzieć krokodyle przechodzące 8 stóp długości, i bezwątpienia mogą one dojść nawet do 20 i więcej. Najmniejsze nawet z nich z łatwością porywają człowieka płynącego. Nie połykają go jednakże od razu, lecz wloką swoją ofiarę do uprzywilejowanego miejsca, najczęściej do jam głębokich, i tam z całym łakomstwem smakoszy, odrywając zębami i pazurami członek po członku, zjadają zdobycz powoli. (C. d. n.)

Z POEZJI
SULLY-PRUDHOMME

„Les vaines tendresses“

Na smętnych skrzydełkach wspomnienia
Gdy spieszę nad ciche mogiły,
Gdzie drzemią nadzieje, pragnienia,
I wiary lat młodych, co były;

Gdy dźwigam trumienek ich wieka,
Rozchylam całunów ich zwoje,
Gdy ojciec stroskany, zdaleka,
Na dzieci te patrzę się moje;

To z piersi, co żalem dławiona,
Jęk nieraz popłynie głęboki,
To chciałbym, tak chciałbym do łona
Przycisnąć skostniałe ich zwłoki!

Lecz myślę: ojcowskie objęcia,
Sierotki rozgrzeją, być może,
Z miękkiego kurhanów zaśnięcia
Na bytu znów wypchną bezdroże.—

I myśl ta w głaz martwy mię zmienia...
Nie! Raczej śpij dziatwo! Śpij złota!
Dość dla cię jednego istnienia,
Dość, — nadto, —jednego żywota!

Paryż dnia. 25. kwietnia 1875.

Naśladował
J. S. Chamiec.

KAPRYS.

Z tomiku poezji P. A. Lemoinne
p. t:
„LES CHARMEUSES“.

Ja cię nie kocham! Ani mi to w głowie!
I kiedy myślą bujam w twojej stronie,
Gdy na twe słówko, jak echo w parowie
Na głos pastuszka, dźwięczy moja dusza,
Gdy gwoli tobie, uśmiech lub łzy ronię;
To kaprys tylko tak mną silnie wzrusza.
To tylko kaprys, bo, jak Bóg na niebie!
Ja cię nie kocham! Ja nie kocham ciebie!

Ja cię nie kocham! Zapewne! Zapewne!
I gdy bez ciebie wszechświat mi jest niczem,
Kiedy za tobą oczy wiodę rzewne,
Jak gdyby matka za zbiegłą dzieciną,
Lub jak słonecznik za słońca obliczem;
To kaprys tylko tych dziwactw przyczyną
To tylko kaprys, bo- jak Bóg na niebie,
Ja cię nie kocham! Ja nie kocham cinbie!

Ja cię nie kocham! Prawda ani słowa!
I gdy u kresu ścieżek mych na świecie,
Konając, szepnę ostatnie: „Bądź zdrowa“
Gdy imie twoje cichutkiem westchnieniem,
W przedśmiertny pacierz jak „Amen!“ się wplecie
To kaprys tylko będzie mi natchnieniem,
To tylko kaprys, bo, jak Bóg na niebie!
Ja cię nie kocham! Ja nie kocham ciebie!

Paryż dnia 1. Maja 1875.

Naśladował
J. S. Chamiec.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

Rozdział I.

P. Alfred, któremu nie wypadało biedz przez ulicę, nie mógł dopędzić spłoszonych dziewcząt, jakkolwiek przyspieszał kroku. Szedł więc za niemi w pewnem oddaleniu, i spostrzegł, że weszły w bramę kamienicy, nie położonej przy żadnej z ulic, które wymieniano na wieczorku u p. Mizerkowej. Pospieszył za niemi rezolutnie i widział, że przebywszy obszerny dziedziniec, brukowany kamieniami, znikły w głębi sieni długiej, jednopiętrowej oficyny. Bohater nasz zawahał się nieco, zatrzymawszy się w bramie, gdzie go zastali p. Pepi, Niunio i Siunio, rekognoskującego wzrokiem nieznany teren. Z okien pomieszkania w oficynie, znanego nam z pierwszych rozdziałów tej powieści, widać było tę grupę ludzi dobrego tonu, jak odbywała rodzaj rady wojennej. Było to pomieszkanie p. Karola Skryptowicza, a czytelnik, tak domyślny za naszych czasów, odgadł już niezawodnie, że pomiędzy panienkami ściganemi przez p. Alfreda znajdowała się panna Helena Grodecka, podczas gdy towarzyszki jej były córkami p. Karola.

Wiemy już, że p. Skryptowicz od pewnego czasu nauczył się był wstawać bardzo wcześnie, nie zadziwi nas przeto, że i dzisiaj widział z okna swoje panny, drżące i pomięszane, w powrocie z kościoła. Popłoch sprawiony spotkaniem z p. Alfredem był tak wielki, że pomimo owego naprężenia stosunków między p. Karolem a jego rodziną, o którem mówiłem, tym razem p. Skryptowicz na zapytanie swoje, co się stało, zamiast zwykłego, lakonicznego. „Nic,“ pokropionego łzami, otrzymał odpowiedź wyczerpującą przedmiot, i był mocno oburzonym. Ma się rozumieć, że skorzystał ze sposobności, ażeby wygłosić obszerną filipikę przeciw chodzeniu do kościoła, zwłaszcza o tak rannej porze, jakoteż w ogóle przeciw wychodzeniu panien z domu bez towarzystwa p. Skryptowiczowej. W przerwach zaglądał do okna i widział, że p. Alfred po naradzie z towarzyszami śmiało zbliżał się do jego pomieszkania, rozglądając się na prawo i na lewo, jak gdyby czego szukał. Za chwilę, przedsiębiorczy nasz kawaler znajdował się w sieni.

— Czego pan sobie życzy? zapytał p. Karol, odchylając drzwi od swego pokoju.

— Czy tutaj mieszka p. Bykowski? była odpowiedź. Ach, przepraszam, nie poznałem pana! dodał p. Alfred, podając rękę p. Karolowi. Jak się pan miewa? Przywożę panu ukłony od pp. Zameckich, ale nie wiedziałem, gdzie pan mieszka. Potrzeba w istocie tak szczególnego zdarzenia...

— Proszę, niech pan wejdzie do pokoju, rzekł p. Skryptowicz, którego oburzenie nie dotrzymało placu w obec pewności siebie i przytomności umysłu p. Alfreda.

— Dziękuję bardzo i przepraszam, innym razem, i o stosowniejszej porze złożę państwu moje uszanowanie, obecnie zmuszony jestem szukać p. Bykowskiego w pilnym bardzo interesie. Do widzenia, kochany panie Skryptowicz, do widzenia! Ale, ale, co to za piękne panny widziałem przed chwilą wchodzące tu do pana? Ej, ej, panie Skryptowicz!

— Mój panie, odparł zagadnięty w ten sposób, koncentrując ile mógł uroczystego tonu w te dwa wyrazy — mój panie, to są moje córki!

— A, powinszować, powinszować, prawdziwie czarujące istoty! No, do widzenia, kochany panie, do widzenia! I podczas gdy p. Skryptowicz, usiłując nadać obliczu swemu wyraz jak największej srogości, szukał w dodatku słów, któreby wiernie odmalowały to nieludzkie uczucie, p. Alfred skłonił się lekko i był już na podwórzu, zkąd rzucił jeszcze wzrok pełen melancholicznego smętu i eleganckiej kokieterji w dwa okna ozdobione białemi firankami i wazonami pełnemi kwiatów, a należące do bawialnego pokoju państwa Skryptowiczów. Gdybym powiedział, że w oknach tych nie było nikogo, niktby mi nie uwierzył, przyznaję tedy, że w bezpiecznem ukryciu, uczucie niewinnej ciekawości wzięło było górę nad przestrachem, i że wszystkie trzy panny wyglądały przez te dwa okna, ale schowały się natychmiast, gdy ujrzały p. Alfreda. Było to równie naturalnem, jak to, że po odejściu nieproszonego gościa, p. Karol srożył się niezmiernie, i obiecywał „połamać kości temu łotrowi“ jeżeli jeszcze raz ośmieli się pokazać w jego domu. Kandydat do połamanych kości opowiadał tymczasem swojemu towarzystwu spotkanie, które miał z p. Skryptowiczem, i był nadzwyczaj zadowolonym z siebie i ze swojej przytomności umysłu, obiecując, iż nie poprzestanie na tem, ale zrobi pp. Skryptowiczom wizytę *en forme*, i zawiąże dobre stosunki z ich potomstwem. Niunio i Siunio śmieli się do rozpuku z tej awantury, i tylko p. Pepi był nieco rozczarowanym, albowiem odkrycie, kim była intrygująca wszystkich piękność, zmniejszało znacznie szanse jego zakładu z księciem Hilarym. P. Alfred oświadczył na to, iż nigdy nie należy rozpaczać, i poszedł spać do hotelu.

Przed drzwiami numeru czekał na niego w pokornej postawie dawny nasz znajomy, p. Simche Berger. P. Alfred zachmurzył się na jego widok, bo jeżeli rozmowa o interesach z p. Bergerem była uciążliwą każdego czasu, to tem bardziej musiała nią być po wieczorku, który przeciągnął się był tak długo, jakeśmy widzieli, i który wraz z jazdą na wyścigi konne i t. p. zrobił był nie mały wyłom w finansach naszego bohatera. Nie wypadało wszelako postąpić inaczej, jak tylko wpuścić niemiłego gościa do pokoju i rozmówić się z nim ile możności grzecznie.

P. Simche Berger, zwykłym swoim trybem, rozglądnął się po pokoju, zajrzał na kurytarz, zamknął drzwi, i dobył z kieszeni pugilaresu, obszerniejszego od niejednej teki ministeryalnej, mocno obdartego i obwiązanego sznurkiem. Rozłożył go na stole, i z pomiędzy kilku set weksli i innych papierów wybrał kopertę, starannie opieczętowaną,

— O, niech jaśnie pan hrabia patrzy, prawda, że pieczątka nietknięta? Niech się jaśnie pan hrabia przekona, że Berger, to uczciwy człowiek. Tego wekslu nikt u mnie nie widział, nawet moja żona.

— I ja radbym go był nie widzieć nigdy. Czegóż chcesz, nie mam jeszcze pieniędzy.

— Aj waj, co ja pocznę, ja nie mogę dłużej czekać. Za trzy dni, wydaję córkę za mąż, i i mam bardzo dużo wydatków. I tak czekam już ośm lat na tę bagatelkę.

— Zapominasz, mój kochany, że od ośmiu lat bagatelka ta urosła z tysiąca pięciuset na dwadzieścia tysięcy, nie licząc tego wszystkiego, coś wziąłeś gotówką tytułem procentów. Co rok do dosz mnie na parę tysięcy złr., a ile razy chodzi o prolongację, to albo żenisz syna, albo córkę wydajesz za mąż, i robisz mi różne historje. Czy widziałeś się z Gomułowiczem?

— Nu, jak ja miałem widzieć się z nim? Jaśnie Pana już od roku nie było w mieście a mnie nie wolno było pokazywać tego wekslu nikomu. Ja wiem, *co* pan Gomułowicz zna jednego szlachcica, co ma realność na przedmieściu i pożycza pieniądze na weksle. Może on kupi ten weksel, ale potrzeba nowych podpisów, bo już niezadługo będą trzy lata, jak weksel wystawiony, a jaśnie pan wie, że przed tym terminem trzeba wnieść skargę do sądu, albo weksel przestaje być wekslem.

— Wiem to wszystko. Idź do Gomułowicza, i powiedz mu, że dostanie odemnie dwa tysiące złr. jeżeli zrobi interes z tym szlachcicem. Powiedz że potrzebuję 25000 złr. i że zapłacę dwadzieścia od sta. w ratach półrocznych. Co zejdzie z dwudziestu tysięcy, będzie dla ciebie, a teraz idź, bo jestem zmęczony z drogi, i muszę się wyspać.

— A czy jaśnie pan ma inny weksel?

— Mam, oto jest, a oddaj mi tamten.

— Nu, jak ja mam oddać tamten, kiedy już zapadł, i mnie się należy procent? Niech jaśnie pan mnie zawierzy, jaśnie pan wie, że Berger uczciwy człowiek, i nie ukradnie wekslu.

— Ja wiem, że nie ukradniesz tego tylko, co ci się nie dostanie do rąk. Zresztą szlachcic nie potrzebuje widzieć wekslu, póki się nie zdecyduje dać pieniędzy. Idź natychmiast do Gomułowicza i powiedz mu, żeby się rozmówił ze swoim szlachcicem, i niech przyjdzie potem do mnie o trzeciej popołudniu. Idź-że, mówię ci.

— Nu, a ja nie dostanę za moją fatygę?

— Masz tutaj i idź sobie, — zawołał Alfred, rzucając Bergerowi kilka banknotów, którym ten ostatni przypatrzył się z wielkiem lekceważeniem. Rozpoczął się targ, w skutek którego, p. Alfred zniewolonym był podwoić ofiarowaną sumę. Nareszcie Berger odszedł, rozglądnąwszy się poprzednio na prawo i na lewo po pokoju, i mruknąwszy w drzwiach „A fajner purec!“ — podczas gdy p. Alfred, rzucając się na łóżko, mruknął coś o „złodziejach żydach“, i o potrzebie wyrżnięcia tego plemienia co do nogi.

O trzeciej po południu, głęboki sen p. Zgorzelskiego przerwało pukanie do drzwi. Bohater nasz otulił się podróżną płócianką, przeznaczoną do chronienia odzieży od pyłu, i zawołał: proszę! Weszła postać nizka i gruba, o maleńkich, przenikliwych oczkach, i rozmaitych zewnętrznych znamionach tego, co Anglicy nazywają *„respectability“* Stara letnia kapota z czarnemi pętlicami, wysokie buty o cholewach mocno zapylonych. i duży słomiany kapelusz należały do tych znamion. Był to p. Gomułowicz, doradca prawny p. Alfreda, i adwokat nie posiadający urzędowego upoważnienia do pełnienia funkcyj tego zawodu. Przyszedł on zdać sprawę, że mówił ze znajomym swoim, p. Tetrzyckim, o interesie p. Alfreda, i że p. Tetrzycki zażądał czasu do namysłu, do jutra rana. Miał to być człowiek nader ostrożny i nie decydujący się zbyt łatwo.

— Pytał mię, czy nie mógłby prenotować swojej wierzytelności na majątkach p. Zameckiego, w razie gdyby dał pieniądze.

— Pod żadnym warunkiem! Gdyby p. Zameckiemu nie zależało na tem, by mieć tabulę

czystą, wolałby pożyczyć w banku, i nie płaciłby tak wysokiego procentu.

— O, rozumiem doskonale, panie dobrodzieju. Ale pani Zamecka pozwoliłaby może prenotować się na sumie, którą jej zapisał p. Zamecki.

— Gdyby to się stać mogło bez wiedzy jej męża...

— Moglibyśmy poradzić na to. W takim razie, panie dobrodzieju, podpis p. Zameckiego na weksłu jest zbytecznym. Żałuję teraz, że wspomniałem p. Tetrzyckiemu o tym podpisie. Wie oni że p. Zamecki ma stosunki majątkowe doskonale uregulowane...

Tu p. Gomułowicz wlepił swoje przenikliwe siwe oczka tak mocno w p. Alfreda, że ten zmięszał się i stracił ową przytomność umysłu, która mu rano przy spotkaniu z p. Skryptowiczem tak znakomite oddała usługi. Po chwili wszelako przyszedł do siebie i odparł z lepszym nieco kontenansem:

— To ten głupiec Berger bajał coś o podpisie p. Zameckiego, o którym nie wspominałem mu ani słowa. W istocie, pani Zamecka prosiła mię, ażebym się jej wystarał o pieniądze bez wiedzy męża...

— Pan dobrodziej sam przed chwilą wspominałeś o p. Zameckim, podczas gdy ja mówiłem tylko o jego majątkach, na których, jak wiem, zapisaną jest suma, darowana p. Zameckiej przez jej męża. Szkoda, że p. dobrodziej nie raczyłeś porozumieć się ze mną wprost, bez pośrednictwa Bergera. Ten podpis p. Zameckiego byłby więcej kompromitującym, niż pomocnym....

— Szkoda, w istocie, westchnął p. Alfred, przeklinając w duchu wyścigi konne, objad w klubie i wieczorek u p. Mizerkowej.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XV.

(Ciąg dalszy).

(Zapada uchwała przezimowania na wyspie Lincolna. — Kwestja metalurgiczna. — Wycieczka na wysepkę Ocalenia. — Polowanie na foki. — Schwytanie „echidny.“ — „Leniwiec.“ — Tak zwana metoda katalańska. — Fabrykacja żelaza. — Jakim sposobem otrzymuje się stal.)

Nazajutrz, dnia 17. kwietnia, pierwsze słowa, które marynarz wyrzekł do Gedeona Spiletta, były:

— Czem-że dziś będziemy, panie Spilett?

— Tem, czem się Cyrusowi podoba nas mieć, odparł korespondent.

Dotychczas byli ceglarzami i garncarzami, teraz przypadło im z kolei zostać metalurgami.

Dnia poprzedzającego, po śniadaniu, dotarli byli aż do samego końca przylądka „Obu szczęk,“ który oddalony był o siedm mil od „dymników.“ Tam kończył się szereg wydm piaszczystych, a ziemia przybierała kształty wulkaniczne. Nie było tam ścian tak wysokich jak n. p. Wielka Terasa, lecz za to rąbek dziwacznych, fantastycznych skał otaczał dokoła tę wąską zatokę, ujętą między dwa przylądki, składające się z mas kruszcowych, które wulkan za siebie wyrzucił. Przybywszy do tego punktu, osadnicy nasi tą samą drogą ruszyli z powrotem i z zapadającą nocą przybyli do „dymników.“ Nie pierwej jednak udali się na spoczynek, aż stanowczo rozstrzygniętą została kwestja: czy należało opuścić wyspę Lincolna, czy nie.

Nie mała przestrzeń, bo około tysiąc dwieście mil oddzielała wyspę od archipelagu Pomotuańskiego. Niepodobna było przebyć ją łodzią zwłaszcza podczas zimowych burz. Oświadczył to stanowczo Pencroff. Wybudować zwykłą łódź, mając nawet pod ręką wszystkie potrzebne do tego narzędzia, było zadaniem niemałem. Lecz osadnicy nasi nie posiadali tych narzędzi, trzeba więc było zaczynać od kucia młotów, siekier, toporków, piłek, świdrów, heblów itp. co wymagało pewnego czasu. Postanowili zatem stanowczo przezimować na wyspie Lincolna i wyszukać sobie na zimę mieszkanie stosowniejsze od „dymników.“

Przedewszystkiem należało zużytkować owe kruszcowe pokłady, które inżynier zauważył w północno-zachodniej stronie wyspy i przemienić ten kruszec bądź w żelazo, bądź też w stal.

Ziemia nie zawiera zwyczajnie kruszców w stanie zupełnie czystym. Po większej części posiadają one przymieszkę kwasorodu lub siarki. I właśnie owe dwa okazy, które Cyrus zabrał był ze sobą, były: jeden z nich żelazem magnesowem bez przymieszki węgla, a drugi pirytem, czyli siarczanem żelaza. Pierwszy więc z nich był niedokwasem żelaza, który należało odkwasić za pomocą węgla, to znaczy uwolnić od kwasorodu, ażeby go przywieść do zupełnej czystości. Odkwaszenie to odbywa się tym sposobem, iż wystawia się kruszec, domieszawszy doń węgla, na bardzo wysoką temperaturę, bądź to za pomocą szybkiej i łatwej „metody katalańskiej,“ posiadającej tę korzyść, że za jedną operacją przemienia kruszec odrazu w żelazo, bądź też metodą wysokich piecyków, przy której kruszec zmienia się naprzód w przetop żelaza, a potem dopiero ten przetop w czyste żelazo, przyczem ulatniają się owe trzy lub cztery odsetki zmięszanego z nim węgla.

Lecz czegoż potrzeba było Cyrusowi? Oto czystego żelaza a nie przetopu, postanowił zatem zastosować szybszą metodę odkwaszenia. Zresztą minerał znaleziony przez niego był sam z siebie bardzo czysty i bardzo bogaty w cząstki żelaza. Był to ów gatunek kruszcu oksydowanego, znajdującego się w wielkich masach ciemno-popielatej barwy, który daje pył czarny, posiada kryształki kształtu regularnych ośmiościanów, jest naturalnym magnesem i służy w Europie do fabrykowania owego żelaza najpierwszej próby, w które tak obfitują Szwecja i Norwegja. Niedaleko tych pokładów znajdowały się pokłady węgla ziemnego, które eksploatowali już nasi osadnicy. To ułatwiało niezmiernie proces przetapiania kruszcu, gdyż pierwiastki potrzebne do tego znajdowały się pod ręką. Ta to okoliczność właśnie jest powodem tak bogatej eksploatacji w Królestwach Zjednoczonych, gdzie w tym samym czasie i w tem samem miejscu wykopuje się węgiel ziemny i przetapia go się w kruszec.

— A zatem, panie Cyrus — odezwał się Pencroff — zabierzemy się teraz do rudy żelaznej?

— Tak jest, przyjacielu — odparł inżynier — i dla tego rozpoczniemy (czemu zapewne nie rad nie będziesz) od polowania na foki na wysepce.

— Od polowania na foki! — zawołał marynarz zwracając się do Gedeona Spiletta. Więc do fabrykowania żelaza potrzeba fok?

— Oczywiście, skoro Cyrus tak twierdzi odparł korespondent.

Tymczasem inżynier wyszedł już z „dymników“ a Pencroff przygotował się do polowania na foki, nie otrzymawszy innego wyjaśnienia.

Niebawem Cyrus Smith, Harbert, Gedeon Spilett, Nab i marynarz zgromadzili się nad brzegiem morza, w miejscu gdzie w czasie odpływu istniał rodzaj brodu. A że była to właśnie chwila największego odpływu, więc myśliwi nasi przeszli cały kanał, nie brodząc w wodzie wyżej jak po kolana.

Cyrus Smith dotknął więc stopą po raz pierwszy wysepki, a towarzysze jego po raz drugi, gdyż jak wiemy, na tę wysepkę wyrzucił ich pierwotnie balon.

Gdy wyszli na brzeg, setki pingwinów przypatrywały się im spokojnie. Mogli byli z łatwością ubić mnóstwo tych ptaków kijami, lecz rozbój taki byłby bez żadnej dla nich korzyści, chodziło bowiem o to, ażeby nie spłoszyć fok leżących w piasku w oddaleniu kilkuset sążni. Z tego powodu oszczędzali także i „manszoty,“ bardzo niewinny gatunek ptaków, których skrzydła zwinięte płaszczą się w kształcie płetw obrąbionych piórami podobnemi do łusek.

Osadnicy nasi postępowali ostrożnie naprzód ku północnemu krańcowi wysepki. Ziemia, po której szli, pokrytą była cała małemi rozpadlinami, w których gnieździło się ptactwo wodne. Na krańcu wysepki widać było duże czarne punkta pływające po wierzchu wody. Rzekłbyś, że to głowy skał poruszających się w morzu.

Były to foki, cel ich łowów. Trzeba było czekać, aż wypłyną na brzeg, gdyż wąskie ich tyły, sierść krótka a gęsta i kształt wrzecionowaty, dodawszy do tego, że są wybornymi pływakami, utrudniają niezmiernie połów na nie w morzu, podczas gdy na lądzie z powodu krótkich płetwowatych nóg dość powoli tylko są w stanie się czołgać.

Pencroff znał ich zwyczaje i radził czekać, aż rozciągną się na piasku, gdzie promienie słoneczne ukołyszą je niebawem w głęboki sen. Myśliwi nasi postanowili zatem odciąć im odwrót od morza i uderzyć na nie z przodu.

Pochowali się więc po za skałami wybrzeża czekając w największej cichości.

Minęła godzina, zanim foki wylazły na brzeg poigrać w piasku. Naliczyli ich pół tuzina. Wtedy Pencroff z Harbertem odłączyli się od reszty drużyny, ażeby obejść dokoła kraniec wysepki, wziąść foki we dwa ognie i odciąć im drogę od morza. Podczas tego Cyrus Smith, Gedeon Spilett i Nab, czołgając się wzdłuż skał, podkradali się ku przyszłej widowni boju.

Nagle wynurzyła się z za skał sążnista postać marynarza. Pencroff wydał głośny okrzyk. Inżynier ze swymi dwoma towarzyszami rzucili się czemprędzej pomiędzy morze a foki. Dwie sztuki padły trupem na piasku pod silnem uderzeniem kija, lecz reszta zdołała dobiedz do brzegu i dostać się na pełne morze.

— Oto są foki, których pan potrzebowałeś! — odezwał się marynarz podchodząc do inżyniera.

— Dobrze — odparł Cyrus Smith. — Będą z nich miechy do huty żelaznej!

— Miechy! — zawołał Pencroff. — Szczęśliwe foki!

W istocie zamierzał inżynier porobić ze skór tych zwierząt rodzaj miechów niezbędnych przy topieniu kruszcu. Zwierzęta te były średniej wielkości, gdyż długość ich nie przenosiła sześciu stóp, a z głowy podobne były do psów.

Ażeby nie obciążać się niepotrzebnie takim ciężarem, postanowili Nab z Pencroffem ściągnąć ze zwierząt skóry na miejscu. Podczas tego Cyrus Smith z korespondentem mieli zwiedzić resztę wysepki.

Marynarz i murzyn wywiązali się ze swego zadania nader zręcznie, i w trzy godziny później rozporządzał Cyrus dwiema skórami fok, które, jak sądził, dadzą się zużytkować i bez garbowania.

Osadnicy musieli zaczekać aż morze znów opadnie, poczem przeszedłszy w bród kanał, powrócili do „dymników.“

Nie mało kosztowało ich pracy i trudu, rozpiąć te skóry na drewnianych ramach, ażeby się rozciągnęły, a następnie pozszywać je za pomocą włókien, tak ażeby módz je napełniać powietrzem i żeby się takowe zbyt nie ulatniało. Kilkakrotnie musieli rozpoczynać robotę na nowo. Cyrus Smith posiadał za całe narzędzie owe dwa kawałki zaostrzonej stali zrobione z obroży Topa, mimo to jednak dzięki jego własnej zręczności i rozumnej pomocy jego towarzyszy, warstat naszej małej osady powiększył się w trzy dni później o jeden miech, którego przeznaczeniem było poddmuchiwać żar topiącego się kruszcu, co jest niezbędnym warunkiem powodzenia tej operacji.

Dnia 20. kwietnia od rana rozpoczęła się „epoka metalurgiczna,“ jak ją nazwał korespondent w swych zapiskach. Inżynier postanowił, jak wiemy, założyć swą fabrykę na samych-że pokładach węgla ziemnego i kruszcu. Pokłady te ciągnęły się, podług jego badania, u spodu północno-wschodnich stoków góry Franklina, to jest w odległości sześciu mil. Nie podobna więc było ani myśleć o tem, ażeby co wieczora powracać do „dymników.“ Postanowiono przeto koczować pod szałasem wyplecionym z gałęzi, tak ażeby ważna ta robota trwała bez przestanku dzień i noc.

Uchwaliwszy ten projekt, ruszyli rankiem w drogę. Nab z Pencroffem dźwigali plecionkę, na której złożono ów miech, tudzież pewną ilość zapasów roślinnych i zwierzęcych, które miano powiększyć w drodze.

Puścili się prosto przez las jakamarowy, na wskos od południowo-wschodniej ku północno-zachodniej stronie, przez największą gęstwinę. Potrzeba było przebojem torować sobie drogę, która na przyszłość miała stanowić najbliższą komunikację między Wielką Terasą a górą Franklina. Drzewa należały do znanych już gatunków i były przepyszne. Harbert odkrył jeszcze kilka nowych gatunków, między innemi pewne drzewo żywiczne, o którem wyraził się Pencroff, że „udaje pora,“ pomimo bowiem swego twardego pnia należało do tego samego rodzaju „liljaceów,“ co cebula, czosnek, szalotka lub szparagi. Drzewo to posiada korzonki, które, gdy ugotowane, mają smak wyborny, a gdy się im pozwoli przez czas jakiś fermentować, dają trunek bardzo przyjemny. Zaopatrzono się więc niemi obficie.

Droga przez las była długą i uciążliwą. Trwała dzień cały, lecz za to można się było dokładnie przypatrzyć jego florze i faunie. Top zajęty był specjalnie fauną, biegał między zarośla i krzaki i wypłaszał każdą bez różnicę zwierzynę. Harbert i Gedeon Spilett ubili z łuków dwa „kangury“ i jedno zwierzątko podobne bardzo do jeża i do mrówkojada. Do pierwszego tem, że się zwijało w kłębek i najeżało kolcami, do drugiego zaś tem, że miało pazury jakby do wydrapywania ziemi, pyszczek długi i śpiczasty, zakończony ptasim dziobem i język elastyczny, otoczony dokoła drobnemi kolcami, któremi przytrzymuje owady.

— A w garnku do czego będzie podobnym? zapytał oczywiście zaraz Pencroff.

— Do kawałka wybornej wołowiny — odparł Harbert.

— Niczego więcej od niego nie wymagamy, odrzekł marynarz.

Podczas tej wyprawy spostrzegli kilka odyńców, które jednak nie myślały bynajmniej zaczepiać drużyny myśliwskiej i już zdawało się, że nie było się czego obawiać spotkania z niebezpiecznemi bestjami, gdy w tem, wśród zbitej gąszczy, ujrzał korespondent na kilka kroków od siebie na dolnych gałęziach drzewa zawisłe zwierzę, które wziął za niedźwiedzia i począł je spokojnie odrysowywać. Szczęściem jednak dla Gedeona Spiletta, zwierze to nie należało wcale do owego niebezpiecznego rodzaju płaskonogich. Był to tylko „kula,“ bardziej znany pod nazwiskiem „leniwca,“ posiadał wzrost dużego psa, sierść najeżoną brudnego koloru, łapy uzbrojone silnemi pazurami, co mu ułatwia łażenie po drzewach i żywienie się liśćmi. Stwierdziwszy tożsamość tego zwierzęcia, nie przerywając mu jego zatrudnienia, Gedeon Spilett przemazał napis swojego rysunku: „niedźwiedź,“ napisał natomiast „kula,“ poczem ruszono dalej.

O godzinie piątej z wieczora Cyrus Smith dał znak do popasu. Znajdowali się wówczas już po za obrębem lasu, u podnóża olbrzymich pasm bocznych, które od wschodu zdawały się podpierać górę Franklina. Kilkaset kroków ztamtąd płynął Czerwony Potok, niedaleko więc była woda do picia.

Urządzono natychmiast koczowisko. W niespełna godzinę stanął na kraju lasu, pomiędzy drzewami szałas z gałęzi i wikliny, wylepiony glinką, który dawał dostateczne schronienie, Poszukiwania geologiczne odłożono do dnia następnego. Ugotowano wieczerzę, rozpalono jasny ogień przed szałasem, przy którym kręcił się rożen i o godzinie ósmej, podczas gdy jeden z osadników czuwał, by podtrzymywać ogień na wypadek, jeśliby jakie niebezpieczne bestje wałęsały się w pobliżu, reszta spała snem twardym.

Nazajutrz, dnia 21. kwietnia, Cyrus Smith udał się w towarzystwie Harberta odszukać owe starożytne pokłady ziemi, w których znalazł był już jeden okaz mineralny. Pokłady te napotkał na powierzchni ziemi, prawie u samego źródła Czerwonego Potoku, u podnóża jednego z północno-wschodnich poprzecznych pasm góry Franklina. Kruszec ten nader bogaty w składniki żelaza, zamknięty w rudzie łatwo topniejącej, nadawał się wybornie do metody, jaką inżynier zamierzał doń zastosować, mianowicie do metody katalańskiej, tylko nieco uproszczonej, używanej pospolicie na wyspie Korsyce.

Czysta metoda katalańska wymaga bowiem pieców i tyglów, w których kruszec przekładany kolejno warstwami węgla przetapia się i oczyszcza. Lecz Cyrus Smith chciał oszczędzić sobie tych przyrządów i budowli, ustawić po prostu z kruszcu i węgla duży stos sześcienny i w środek jego wypuszczać z miecha prądy powietrza. Metody tej używał niezawodnie jeszcze Tubalkain i pierwsi metalurgiści zamieszkałego świata. Otóż co się udało wnukowi Adama, co nawet w okolicach obfitujących w kruszec i paliwo wydawało pomyślne rezultata, musiało także powieść się w tych okolicznościach, w jakich znajdowali się osadnicy wyspy Lincolna.

Podobnie jak kruszcu uzbierali także i węgla w pobliżu, na powierzchni ziemi. Naprzód potłukli ten kruszec na drobne kawałki i oczyścili go z wierzchu rękami z rozmaitych naleciałości. Następnie ułożyli ten kruszec i węgiel kolejno warstwami w stos — jak to czynią z drzewem przy zwęglaniu go. Tym sposobem pod wpływem powietrza puszczanego miechem, węgiel miał zamienić się w kwas węglowy a następnie w niedokwas węgla, którego przeznaczeniem było wypędzić niedokwas z żelaza, czyli uwolnić je od tlenu.

W ten sposób postępował inżynier. Miech ze skór fok uszyty, zaopatrzony na końcu rurką z niepodatnej ziemi, przyrządzonej wprzód w piecu garncarskim, ustawiono tuż przy stosie kruszcu. Poruszany za pomocą mechanizmu, składającego się z drewnianej oprawy, z włóknowych powrozów i z przeciwwagi rzucał w stos masę powietrza, które podnosząc temperaturę, przyczyniało się także do chemicznego przetworu, mającego dać czyste żelazo.

Trudne to było przedsięwzięcie, i trzeba było tej cierpliwości i tego sprytu, jaki posiadali osadnicy nasi, ażeby je doprowadzić do pożądanego skutku. W końcu jednak udało się przecież, a namacalnym rezultatem jego była bryła żelaza, wyglądająca jak gąbka, którą trzeba było dopiero wydusić i ubić, to jest po prostu wykuć, ażeby oczyścić ją z płynnej rudy. Oczywiście jednak brakowało naszym improwizowanym kowalom pierwszego młota. Koniec końcem znajdowali się w tem samem położeniu, co pierwszy metalurgista, postąpili więc tak samo, jak on postąpić musiał.

Pierwsza bryła osadzona w drewniany trzonek posłużyła za młot do wykucia drugiej na granitowem kowadle. Tym sposobem otrzymali żelazo wprawdzie poślednie, lecz zawsze przydatne.

Wreszcie po tylu usiłowaniach i trudach udało im się d. 25. kwietnia ukuć kilka sztab żelaznych i potworzyć z nich rozmaite narzędzia, jak obcęgi, kleszcze, kilofy, motyki itp. które Pencroff i Nab uważali za istne cacka.

Kruszec ten jednak nie jako czyste żelazo, lecz jako stal mógł osadnikom największą przynieść pożytek. Otóż stal jest kombinacją żelaza i węgla, którą wytwarza się bądź z przetopu, ujmując mu nadwyżkę zawartego w nim węgla, bądź też z żelaza, dodając mu brakującego węgla. Kombinacja pierwszego rodzaju, wytworzona przez odwęglenie przetopu daje stal naturalną, kombinacja zaś drugiego rodzaju, dokonana zapomocą dowęglenia żelaza, daje stal cementowaną.

Ten ostatni rodzaj najbardziej nadawał się Cyrusowi, ponieważ posiadał żelazo czyste. Dokonał zaś tego ogrzewając kruszec z węglem roztłuczonym na proch w tygielku ulepionym z niepodatnej ziemi.

Następnie stal tę, dającą się na zimno i na gorąco giąć i płaszczyć dowolnie, obrobił porządnie młotem. Nab i Pencroff pod światłem kierownictwem inżyniera sporządzili kilka żeleźców do siekier, które rozpalone do czerwoności a po-

tem raptownie zanurzone w zimną wodę, nabrały przedziwnego hartu.

Tym samym sposobem sporządzili także inne narzędzia, oczywiście kształtów nie zbyt wykwintnych, jak klingi do heblów, siekiery, toporki, cienkie klingi stalowe, które miały być później przerobione na piły, dłuta ciesielskie, żeleźca do motyk, rydle, kilofy, młoty, ćwieki itp.

Wreszcie d. 5. maja zakończyła się pierwsza epoka metalurgiczna, kowale nasi powrócili do „dymników.“ Nowe prace miały ich wkrótce pasować do nowych zawodów.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXV.

Bez wrzawy i rozgłosu wielkiego, zupełnie na wzór ostatniej republiki hiszpańskiej, upadła niedawno we Lwowie niefortunna jej kopja, republika teatralna. Nie pomogła jej uchwała kortezów galicyjskich, zapewniająca teatrowi nadal dotychczasową subwencję, a redukująca na cztery miesiące obowiązek utrzymywania opery. Nie pomogła i życzliwość opinji publicznej, objawiająca się w dziennikach grzecznem milczeniem, a w szerszych kołach, milczącą grzecznością, tak daleko posuniętą, że podczas ostatnich przedstawień nieraz oswojone już z orkiestrą szczury swobodnie przechadzały się po lożach i między krzesłami. Dziedziczny niedobór, ów grzech pierworodny naszego przedsiębiorstwa teatralnego, o którym wspominałem na tem miejscu, okazał się zabójczym, i pp. Dobrzański i Tański dopiero wówczas podjęli się kierownictwa skołatanej burzami nawy, gdy się udało uzyskać częściowy przynajmniej odpust od pp. wierzycieli. Zbawienne skutki tego rozgrzeszenia dadzą się czuć niewątpliwie w całej pełni, gdy minie fatalna *saison morte*, rozpanoszona już teraz na dobre. Najgorliwsze i najsumienniejsze usiłowania dyrekcji i artystów muszą być bezowocnemi wobec dwudziestu kilku stopni gorąca, które wskazuje ciepłomierz Réaumura z taką samą nieubłaganą konsekwencją, z jaką w zimie wskazywał kilkanaście stopni mrozu. Największy miłośnik teatru, zmęczony upałem, korzysta z wieczornego chłodu do orzeźwienia stę przechadzką. Jedynego kontyngensu widzów dostarcza teraz teatrowi prowincja, której mieszkańcy mając w domu tyle chłodu i świeżego powietrza, ile go racjonalnie wymagać mogą, przybywszy do miasta nie opuszczają sposobności odwidzenia teatru. Spodziewać się należy, że chwalebny ten zwyczaj nie ustanie, gdy Lwów na parę dni ożywi się bardziej w skutek wyścigów konnych.

Ostatnia ta zabawa powinnaby tego roku być bardzo zajmującą, pomimo mniejszej liczby właścicieli stajen, którzy w niej udział wezmą. Hr. Jan Tarnowski z Dzikowa i hr. Szczepan Zamojski na przyszły rok dopiero będą produkować swoje bieguny. Tego lata, z końmi chorzelowskiemi, a mianowicie z gwałtownym preszburgskim, peszteńskim, wiedeńskim i warszawskim pogromcą „Przedświtem“ i jego adjutantem „Turoniem“ współzawodniczyć będą głównie konie pp. Kaliksta Ochockiego i Alfreda Mysłowskiego. Pojawić się ma także jeden koń zagraniczny, hr. Sztaraya, którego transleitańskie kopyta wystawione będą na ciężką próbę w piaskach za rogatką janowską, i w zawodach z „Przedświtem,“ o którym mówią, że jeszcze wcale nie miał okazji rozwinięcia całej swojej szybkości, i wygrywał dotychczas zawsze „jak chciał,“ mówiąc językiem turfu. Jednem słowem, „Przedświt“ w porównaniu z innemi końmi jest tem, czem był Achill w porównaniu z innymi bohaterami wojny trojańskiej: „*podarkes, dios*,“ a nawet, czemś więcej, bo nie ma słabej pięty. Jak Patti między śpiewaczkami, jest on nieprześcignionym, niezrównanym. Zjeżdżajcie się tedy do Lwowa, obywatele z prowincji, a z błoń janowskich spieszcie potem prosto do teatru, gdzie będziecie bardzo mile widzianymi i będziecie widzieli wiele miłych rzeczy. Po drodze, wszelako, nie zapominajcie wstąpić do księgarni, kupić jak najwięcej książek i zaprenumerować jak najwięcej dzienników. Zapewniam, że jest to obecnie niezmiernie *bon genre*, i że ktokolwiek ma odrobinę uszanowania dla swojej tarczy herbowej, albo dla swego ekstraktu tabularnego, ten ile razy jest w mieście, nie omieszka nigdy odwidzić jednej i drugiej księgarni. Sędziwy książę Roman S. z córką i wnuczką świeci w tej mierze dobrym przykładem, o czem, dla ogólnej zachęty, ośmielam się wspomnieć nawiasem. Bardzo także *en vogue* jest zwidzanie wystawy sztuk pięknych, połączone z kupowaniem lub zamawianiem obrazów i rysunków — a to do tego stopnia, że nie podobna uchodzić za dżentlmana nie stosując się do tej mody.

* * *

W sprawach literackich, zmuszony jestem wnieść dzisiaj dwie interpelacje. Oto, przedewszystkiem, wyczytaliśmy w „Tygodniu“ i w osobnej broszurze, obronę p. Kuliczkowskiego przeciw zarzutom uczynionym mu przez prof. Małeckiego z powodu jego „zarysu dziejów piśmiennictwa polskiego.“ Tyle już czasu upłynęło od ogłoszenia tej obrony, że godzi się spytać, czyli szanowny profesor Małecki nie uzna za stosowne, zabrać głos w tej kwestji i wyjaśnić, jak się rzecz ma właściwie z temi zarzutami, których bezzasadność wykazał p. Kuliczkowski.

Druga interpelacja dotyczy dzieł pośmiertnych zgasłego przed kilkoma laty pisarza i poety Adama Pajgerta. Zostały po nim w manuskrypcie dzieła, które należeć będą do nienajpośledniejszych ozdób naszej literatury. Miałem raz sposobność, za pośrednictwem p. Władysława Zawadzkiego, czytać piękny poemat bohaterski śp. Pajgerta pt. Kadmea, który, o ile mi wiadomo, nigdy nie wyszedł z druku. Słyszałem, że takich nie wydanych dotąd utworów, jest więcej. Oprócz tego należałoby zebrać drobne artykuły i wiersze, rozrzucone po różnych pismach perjodycznych. Staranie o to wszystko, wolą zmarłego, jeżeli się nie mylę, polecone jest p. Kornelowi Ujejskiemu, dotychczas wszelako nie słyszałem, ażeby się zanosiło na wydanie dzieł Pajgerta, które niezawodnie już byłoby przyszło do skutku, gdyby było poruczonem którejkolwiek księgarni lwowskiej — zwłaszcza że wymagałoby mniej nakładu, niż wydawnictwa dzieł Pola, Kraszewskiego, Dzierzkowskiego lub Krasińskiego. A więc, w imieniu czytającej publiczności polskiej, pozwalam sobie zapytać pana Kornela Ujejskiego, co się dzieje z wydaniem dzieł śp. Adama Pajgerta?

Jan Lam.

Listy z Anglji.

IRLANDZKIE RUCHY.

Londyn w maju 1875 r.

(Dokończenie.)

Jak mało zwykł był się liczyć z okolicznościami i prawdopodobieństwem przekonał swym powrotem, biegnąc w ręce władzy która go za ten krok mogła skazać na daleko sroższą karę. Rzecz dziwna, nie pociągnięto go do żadnej odpowiedzialności. Po prostu tolerowano zbiega. Może dla tego, że strawiony walką i niepowodzeniami uspokoił się. I byłyby z czasem tylko sądowe protokoły pamiętały, że Mitchell uległ kryminalnej karze, gdyby go na ten raz niezręczna wdzięczność mieszkańców Tipperary nie obrała swym deputowanym. Opinja publiczna ma także swoich pająków, które zwolna zasnują każdą niesławę; rozwieszoną nad wypadkiem irlandzkiego patrjoty siatkę zapomnienia rozdarła ręka moralności parlamentu, rozwinąwszy z tajemnicy krzywdzący wyrok, który go pozbawił praw do poselskiej godności. W właściwym czasie wyrok ten miał swoją chwałę: gdy jednakże idący za świeżemi tylko wrażeniami tłum już nie pamiętał dokładnie czynów, które go ściągnęły, nagi fakt kryminalnej bannicji, z którego opadły wszystkie szlachetne barwy, jakie go w przeszłości zdobiły, nagle z niej wydobyty i jako zarzut osądzonemu postawiony, rzucił na jego życie dość ponury cień. Nie widziano w Mitchell'u patrjoty po przez... więźnia. Szczęściem znaleźli się ludzie którzy nie zapomnieli, że kiedyś jego *wina* po angielsku, po irlandzku *zasługą* się nazywała. Szybko przywrócono słowom wyroku właściwe znaczenie, przetłómaczywszy angielski gniew na język irlandzkiego entuzjazmu. Przyjaciele tej sprawy zaczęli się wyścigać w walce i apologji. Pod wpływem tych nagle zbudzonych wspomnień i sympatji, ziomkowie patrjoty uczuli dlań dawną wdzięczność a okręg Tipperary, nie zważając na odmowę parlamentu, wybrał go po raz drugi swym posłem. Mitchell niejako czekał tej ostatniej pociechy, bo dowiedziawszy się o niej, w chwili gdy publiczna opinja rozpoczęła nową o niego walkę, jak gdyby dla pogodzenia spierających się stron, umarł.

22. marca był dniem szczególnego w Londynie widoku. Przeszło dwudziestotysięczny tłum zebrany na Trafalgar Square a później w Hyde Park'u obchodził wielką uroczystość. Zielona barwa ubiorów, widocznie tym kolorem manifestujących wspólną myśl, odrazu objaśniała widza, że patrzy na procesję Irlandczyków. Godła niesionych na czele chorągwi upewniały o tem zupełnie. Na jednej z nich odbijał się napis *God save Ireland*, na drugiej wyobrażającej narodowego patrona St. Patryka: *Ireland will regain her own again**). Samo znaczenie tych napisów określało do pewnego stopnia cel uroczystości. Świętowano na cześć sprawy narodowej. Tendencja wszakże obchodu wypowiedziała się wyraźniej na odbytym po procesji meetingu. Zgromadzono się po to: ażeby żądać uwolnienia politycznych więźniów irlandzkich, ażeby zaprotestować przeciwko wyjątkowym prawom przymusu i nakoniec ażeby podziękować wyborcom Tipperary za dwukrotną nominację posłem — Mitchell'a. Na grobie więc wytrwałego patrjoty złożyli irlandczycy może

---

*) Boże zbaw Irlandję i — Irlandja chce odzyskać swoje.

nieco spóźnione ale czyste uczucia swej wdzięczności. Nawet najczystsze folbluty angielskiej prasy zrzekły się tu i owdzie praw do rzucenia niechęcią na trumnę zmarłego. Gdyby angielska policja mogła być sprawiedliwą względem takich jak Mitchell burzycieli publicznej równowagi, z pewnością ofiarowała by mu szczere westchnienie. Bo on na nie zasłużył nawet od tych, przeciwko którym działał lub którzy go ścigali. Wśród najprzeróżniejszych odmian ludzkiego charakteru tak rzadko wychowują się silne i ogólnem dobrem przeniknęte, że chociażby jakiś szczęśliwie spotkany ich okaz miał na sobie drobne plamki, chętnie o tem zapominamy dla czystości i wartości ich tła. Czy takie plamki burza życia zrobiła na charakterze Mitchell'a — jak o tem donosiły głosy obrażonych — powiedzieć nie umiem. To pewna że był nieskalanym patrjotą, za to przebaczmy mu możliwe winy, za to pamiętajmy o nim sympatycznie chociaż przez czas tego krótkiego wspomnienia. Na takich osobistościach uczucia nasze z pewną serdecznością spocząć powinny. Bo kto wie czyśmy Irlandji a zatem i jej synom trochę nie krewni!...

Świeża manifestacja w Hyde Parku odbiła się w Londynie silniejszem niż zwykle wrażeniem. Zielona massa dwudziestu tysięcy dusz zaognionych dawną nienawiścią raziła samym swym widokiem mierzonych przez nią ponurem lub ironicznem spojrzeniem anglików. Cóż dopiero mówić o pogróżkach i gwałtownych mowach meetingu. Prawda że pod zasłonięciem... stałej armji można się nie lękać tego rodzaju zamachów, nie przestają one jednak rozstrajać nawet tak chłodnego usposobienia jak angielskie. Zwłaszcza, jeśli z głosem bezsilnych pretensji zmiesza się głos słusznej krzywdy, nawet egoizmem, głuszone sumienia uczuwają mimowolny dreszcz. Tak podziałało upomnienie się irlandczyków o swobodę dla swych za polityczne wykroczenie uwięzionych współbraci. Może demonstracja uciszy się bezpłodnie, ale w takich razach i wywołanie dreszczu coś warto...

Świeży ten ruch był z ostatnich dni najjaśniejszym błyskiem z po za tych czarnych i posępnych chmur, jakiemi Irlandja zwykła grozić Anglji. Ciemny też i klerykalną zarazą obezwładniony naród rzadko może się zdobyć w dochodzeniu swych praw na taki oręż, którym by walcząc z Anglją, zarazem ogólnej ludzkiej cywilizacji nie ranił. Głęboki smutek ogarnia duszę patrząc na tę biedną gromadkę osuwającą się w otchłanie religijnego fanatyzmu, a spychaną nieraz w przepaść nędzy. Ludu tego nawet współczuciem ratować niepodobna, bo zdaje się iż on ukąsiłby każdą nieposwięconą jego wyznaniem rękę, gdyby go ta nawet najszczerzej zbawić chciała. Jest to między narodami Europy wynędzniały i podobno nieuleczalny z obłąkania Łazarz. Jeźli w kim to w nas wzbudzić powinien bardzo poważne zastanowienie, gdyż przed nami staje jak ostrzegające widmo strasznego przykładu...

Wystawa obrazów w Paryżu w r. 1875.

Paryż d. 1. czerwca 1875 r.

Dwadzieścia cztery salonów, w nich do trzech tysięcy różnych rozmiarów i różnej wartości malowideł i malowidełek, nie mówiąc już o środkowej budynku nawie przemienionej w ogród i posągami zapchanej, oto olbrzymia całość, z której mi w jednej i to niezbyt jeszcze długiej kronice, możliwie dokładne, zamknąć trzeba sprawozdanie.

Problemat trudny. Nie dziwcie się więc koniecznym w rozwiązaniu jegn niedokładnościom i przez wzgląd na dobre chęci, lichemu wybaczcie rezultatowi.

Naprzód ogólny rzut oka na malarstwo spółczesne we Francji. Dawniej, niedalej jak w pierwszej połowie bieżącego stulecia, dwie lub najwięcej trzy wielkie rozróżniano w niem szkoły. Dwa obozy, dwie armje, różne wyznające tendencje i pod różnem walczące znamieniem. „Linja! Rysunek“ tej „Światło! Koloryt!“ tamtej było hasłem; Ingres na czele jednej, Delacroix stał na czele drugiej. I tłum adeptów, wierząc jak w ewangelję w artystyczne zasady tych kilku potęg pędzla, poddańczo bił im czołem a kilkunastu wybitnych talentem uczniów, jakkolwiek mniej niewolniczo mistrzów naśladując, jednakże o wyłamaniu się zupełnem z pod ich Jehowicznej opieki, nie marzyło w najsilniejszym nawet przystępie gorączki indywidualizmu.

Był to czas monarchicznych, że tak rzeknę, zapasów, między dwoma lub trzema przez opinję publiczną ukoronowanemi artystycznemi prądami. Autokratyzm w sztuce jak i wszędzie indziej, silną wyradzał dyscyplinę, która często tworzyła ofiary. Młodego naprzykład wyznawcę klasycznych przykazań Ingres'a może nieraz zaoskomiło pieniężne powodzenie jakiego kolorysty; nieraz mu może świerzbiały dłonie, by stworzyć obrazek jaskrawy, a więc popłatniejszy niż chłodne a blade własnej szkoły produkcje; niepozwoliła atoli tradycja — i biedna jej ofiara, na poddaszu w wytartej surducinie, brała się do rzucania na płótno utworów niepodobnych do sprzedania, ale wiernych zasadom szkoły. Tak było dawniej, niedalej jak w pierwszej połowie bieżącego stulecia.

Dziś? Zmiana rzeczy zupełna. Jeślim w minionej epoce śmiało do autokratycznej monarchji, upatrzył podobieństwo, to w obecnej, śmielej jeszcze i bardziej uderzające znajdę podobieństwo do anarchicznej republiki.

Bezkrólewie zupełne. Szkoły żadnej, lub raczej tyle ich razem, ile talentów, trochę niby podnioślejszych, czasem nawet drugo i trzecio rzędnych. Eklektyzm górą — każdy walczy na swoją rękę grupując koło siebie trzódkę, kilku co najwięcej kompletnych już chyba nieudolności. Ztąd chaos, ztąd siaka taka nawet klasyfikacja niemożebna, lub tak przynajmniej trudna, że upoważniony przykładem kompetentniejszych odemnie sędziów kusić się tu na nią nawet nie ośmielę.

Drugą, wybitną cechą spółczesnego tu malarstwa, jest zbytni pośpiech w robocie, traktowanie jej pobieżne, jak za napaść, zaniedbywanie, niewykańczanie szczegółów i akcessoryj. Z wyjątkiem kilku, których łatwo przeliczysz na palcach, olbrzymia większość młodych artystów wyżej wymienionemu podlega zarzutowi.

Byleby całość obrazu o kroków dziesięć lub piętnaście przyjemne sprawiała wrażenie, mniejsza o to iż drobnostkowiec jakiś, przyjrzawszy się mu zbliska, miast niejednej ręki, nogi itd. dopatrzy tylko plamy, cielistym ledwie odznaczone kolorem.

Nie tak sądziło, nie tak działało dawniejszych mistrzów koło, nieśmiertelnym laurem sławy uwieńczonych. Weźcie proszę, pierwsze lepsze z wielkich płócien Rubensa lub Holbeina, weźcie pierwszy lepszy flamandzkiej szkoły Teniers'a lub Terburg'a obrazek, postawcie te obok produkcji najbardziej na oklask zasługujących dzisiejszych artystów, a uprzedzone nawet na korzyść tych ostatnich oko, wnet uderzy wielka różnica w sumienności pracy.

Tamci, nieuwłaczając w niczem fundamentalnej zasadzie perspektywy, udobitniając jak należy postacie i przedmioty na pierwszym postawione planie, umieli jednak i na tonących w głębi wycisnąć odpowiednią wykończenia pieczątkę. Na niektóre obrazy wspomnianej flamandzkiej szkoły można patrzyć z silnym przed okiem mikroskopem. Nic tam zaniedbanego, nic zlekceważonego. Pierścienie czasem na palcach głównych postaci zadziwią was misterną dokładnością wykończenia. A niechżeby kto przez te powiększające szkiełko chciał popatrzyć na utwory dzisiejszych artystów? Prócz jednej jakiej i to jeszcze nie zawsze silnie oświeconej i stosunkowo wypracowanej postaci, reszta obrazu pstrą lub szarą ukazałaby mu się bazgraniną, czemś bez formy i rozmiarów, amalgamą wszystkich odcieni palety.

Gdzie szukać przyczyn tej niedbałości w pracy, tego od zasad dawnych mistrzów odszczepieństwa. Nigdzie indziej, widzi nam się, jak w merkantylizmie wieku, w tym zaciętym wrogu sztuki, który, obym fałszywym był prorokiem, utinam sim falsus vates, przerobi ją wkrótce w poddane sobie rzemiosło.

Może to mieć minę paradoksu, ale wierzcie, że mnożące się codzień grono amatorów malarstwa, że szalone ceny, do jakich podskakują najdrobniejsze nawet obrazki upodobanych przez publiczność artystów, że kupy złota, jakiemi publiczność obsypuje szkice ledwie zakreślone, byleby z pracowni Fortuny itp. pochodzące, iż spekulacje wreszcie, jakie się w skutek tych kaprysów mody około artystycznego zawiązują świata, iż te wszystkie warunki, na pozór korzystne i zachęcające do poświęcenia się sztuce, wielką dla niej w gruncie realizują się szkodą. Siejba w nich fabryka-tów zamazanych kolorami płócien, ale nie siejba wielkich i sumiennych artystów.

To com rzekł gdzie indziej względem literatury, tu względem malarstwa powtórzę. Łatwość i pewność zarobku, to choroba, na którą artyzm skończy niebawem. Któryż dziś artysta zechce w dzieło swoich rąk czy głowy, jak to poprzednicy jego w tym zawodzie czynili, całość odmierzonego mu włożyć żywota? któryż dziś według rady Boileau: *Cent fois sur métier remets ton ouvrage* utwór swój dla nadania mu większego poloru, większej doskonałości, sto razy na swym biurku, lub na swojej przewróci staludze.

Żaden! Na co? Po co? Celem pracy ich dzisiaj, nie jedyna jak niegdyś sława, celem pracy ich dzisiaj głównie zysk pieniężny. Talent to kapitał i jako taki rentować się powinien. Obraz z góry sprzedany. Obstalunki na inne płyną. Czas nagli. Główna postać mniej więcej skończona. Mniejsza o resztę. Szach mach pędzlem. Rzućmy tam pas błękitny, tam żółty, tam malinowy. Efekt ogólny jest? Co? Jest! A więc; obraz gotowy. Precz z nim i do następnego! Produkować dużo i prędko, oto zasada być może bardzo sprawiedliwa w fabrykacji mydła lub świec, ale zastosowana do sztuki, niekoniecznie świetnemi odznacza się rezultatami.

Łatwość i pewność zarobku, to choroba na którą artyzm skończy niebawem. Jej to wpływom przypisać należy zmniejszającą się corocznie liczbę wielkich, historycznych obrazów, a natomiast rosnące pokłady małych tak zwanych „tableaux du genre“. Nic naturalniejszego. Pierwsze rozmiarami swemi do wielkich tylko sposobiące się pałaców, lub do publicznych galeryj, żadnego na bursie artystycznej nie znajdują pokupu, drugie i do lada mieszczańskiego godzące się saloniku, więcej spotykają amatorów, idą w górę pod względem ceny. „Takich im trzeba; dajmy im takie“ myśli artysta i bez wielkich wysiłków pracy, posyła na targ obrazek jaskrawy, w złociste ramy oprawny. Kwitną ztąd portrety, prosperują wizerunki średnich rozmiarów kobiet nagich, lub lekko ubranych, trzyma się jako tako pejzaż, ale obraz historyczny upada i coraz szczuplejszym na każdej nowej wystawie jawi się kontyngensem. „Requiescat in pace“, zaśpiewamy mu niebawem. Pewność i łatwość zarobku, to robak w świątyni piękna, minujący jej podstawy. Być może że nie runie ona zupełnie, wierzyć tak przynajmniej i spodziewać się należy, ale długie i ciężkie upośledzenia przebędzie godziny. Coś nakształt średnich wieków, coś nakształt najazdu barbarzyńców. Barbarzyńcą, współczesnym Attylą będzie pieniądz, to uosobienie realizmu, ten wróg zatem piękna i ideału. Pod jego biczem malarstwo mazaniem płócien, rzeźba lepieniem zegarowych posążków, poezja wreszcie składaniem karmelkowych stanie się rymów, i to na tak długo, aż nowego odrodzenia, nowej „Renaissance“ nie zabłyśnie jutrzenka. Zkąd to zaświeci, na której horyzontu stronie? Nie wiemy. Tam i ztamtąd być może, gdzie ciele złoty najmniej kornie zgiętych spotyka skroni, gdzie artyzm i ubóstwo i poświęcenie i zapoznanie siebie najdłużej były i będą synonimami.

Przechodząc od ogólnych spostrzeżeń nad malarstwem, które tak smętnym zreasumowaliśmy prognostykiem, do tegorocznej wystawy sztuk pięknych w Paryżu, zastanówmy się naprzód w jakim porządku przedstawić uwadze czytelników możliwie wierne z niej sprawozdanie.

Gdybyśmy chcieli ocenić każde dzieło sztuki, a jest ich dwa tysiące kilkaset, musielibyśmy chyba na wyłączny nasz użytek skonfiskować kilka z rzędu numerów „Tygodnia“ co bezwątpienia w czytelników kole straszną wywołałoby burzę.

Wybierać więc i sortować potrzeba, a czyniąc to, następnego trzymać się będziemy systematu.

Alfabetycznym porządkiem według nazwisk malarzy, krótszą lub dłuższą wzmiankę o tych tylko poślemy wam obrazach, które według sądu krytyków tutejszych na istotne zasługują pochwały, które przytem, bo i własnego nie zarzekamy się zdania, i naszym pojęciom o sztuce zupełnej nie wydają wojny.

Osobną rubrykę: „Zawodów“ poświęcimy tym artystom, którzy znani pochlebnie z prac dawniejszych, w tym roku nie odpowiedzieli ogólnemu oczekiwaniu.

Artystów wreszcie Polaków, w oddzielnem na końcu zamkniemy sprawozdaniu.

I w imię Boże, naprzód!

(A) 1. *Alma-Tadema:* „Pracownia malarska w starożytnej Romie“. Kilku mecenasów sztuki zwidza pracownię owoczesnego artysty i zachwyca się pokazanemi im obrazami. Pan Alma Tadema to jeden z tych, do których nie stosują się nasze zarzuty o zaniedbywaniu szczegółów. Patrzcie jak tu wszystko wypracowane: te draperje, te mozaiki ścian i podłogi, te na ramionach podrzędnych nawet postaci, fałdy tog a peplum. Zaleta to wielka, szczególniej w dzisiejszych czasach gdy powszechnie pracują jak za napaść, *à la vapeur*, ale pracowitość sama nie wystarcza. Obrazowi pana Almy-Tademy brak życia, brak ruchu. Rzekłbyś, że artysta dla większej archeologicznej prawdy swego utworu kazał pozować przed sobą zasuszonym mumjom owych czasów. Rysunek poprawny muskułów nie wystarcza, trzeba jeszcze krwi pod skórą, a ta nie krąży wcale w żyłach tych niby wskrzeszonych amatorów przedchrześcijańskiej sztuki. Powietrze ciężkie, ołowiane. W ogóle obraz malowany na chłodno, bez zapału, i pomimo wielu zalet, wiele jeszcze pozostawia do życzenia.

2. *Armand-Dumaresq:* „Kapitulacja Yorktownu 18. października 1781 roku.“ Epizod z wojny o niepodległość amerykańską. Yorktown kapituluje. Jenerał angielski O'Hara na czele swego sztabu, przegraną szpadę składa u nóg francuskiego jenerała de Rochembeau. Ten mu wymownym ruchem ręki daje do poznania, że szpada ta z prawa nie jemu, lecz stojącemu opodal należy się Washingtonowi.

Bardzo udatne malowidło. Postacie dobrze ugrupowane. Ruch ich naturalny. Pycha na twarzy Brytańczyka, który woli uniżyć się przed obcym niż przed zbuntowanym współziomkiem, schwycona i oddana wybornie. Washington, nieco poświęcony, zostaje w cieniu; stojący obok niego wódz Indjan walczących za niepodległość, patrzącemu przywodzi na pamięć romans Cooper'a „Ostatni Mohikanin.“ Zarzuciłbym coś kolorytowi za jasnemu pod chłodnem niebem północy. Zarzuciłbym coś i zbyt błyszczącym i czystym jak na czas kampanji uniformom obydwóch armji, tak zwycięzkiej jak i zwyciężonej. W summie atoli, jakem rzekł wyżej, malowidło udatne i zasługuje by przed niem zatrzymać się chwilę.

(B) 3. *Bayard:* „Po bitwie pod Waterloo“. Ranni, tak Prusacy, jak Francuzi, złożeni *pêle-mêle* na słomie w niedalekiej gdzieś od pola bitwy stodole wzajemną ku sobie miotani nienawiścią, w braku innej broni, walczą jeszcze kułakami.

Rysunek niczego. Dosyć światła i ruchu, ale na Boga! Co za ohydne widowisko! I jaka straszliwa furja zemsty kierowała pędzlem artysty, gdy na płótno te posępne przeszłości wywoływał upiory. Te zwierzęcą wściekłością ogłupiałe twarze, te silnie zaciśnięte pięści, te z ran pozrywane okrwawione szmaty! Okropność! Ohyda! Odwróćmy oczy!

Porządek alfabetyczny niestety nie zbyt wesołe podsuwa nam rzeczy.

4. *Becker* „Respha broni przeciwko sępom i krukom ciała powieszonych swych dzieci.“

Ustęp z Bibiji Starego Testamentu nie każdemu znany, a który sobie zaglądnięciem do niej odświeżyć potrzeba.

„Za czasów Dawida“ mówi Biblja, księga królów rozdział XXI. „był głód, który trwał trzy lata. Dawid radził się „Proroków Pańskich“ i ci mu odpowiedzieli, iż przyczyną głodu jest rodzina Saula i że „Pan“ mści się za zabójstwo Gabonitów. Dawid wtedy rzekł do Gabonitów: Czego trzeba by zmyć krzywdę Wam uczynioną? A Gabonici odrzekli mu: Daj nam przynajmniej siedmioro z dzieci Saulowych, byśmy je ukrzyżowali dla przebłagania gniewu „Pańskiego“. Dawid wziął wtedy dwóch synów Saula z Resphy i pięciu wnuków jego z Mareb i wydał ich Gabonitom, którzy ich ukrzyżowali. Respha pozostała przy ciałach zamęczonych swych dziatek i broniła je przeciwko ptakom krwiożerczym.“ Cytacja długa; ale konieczna dla zrozumienia obrazu, i na którą obraz w samej rzeczy zasługuje. Jedyny to może z całej wystawy który, pod wielu względami zdradza uzasadnione pretensje do wielkiego, epicznego, że tak rzeknę, malarstwa. Rzut oka na całość utworu zadawalający. Jest zapał, „*le feu sacré*“ jak powiadają Francuzi. Zakrój na mistrza. Widać iż pędzel, co to malował, nie w chłodnego spekulanta tkwił dłoni. Koloryt odpowiedni treści, smętny, ponury. Gniewa to niektórych krytyków. Paul de Saint-Victor, recenzent dziennika „Liberté“ chciałby w obrazie strony jakiejś jaśniejszej, rozweselającej oczy. Ale zkąd na nią w tych pierwotnych ludzkości dziejach, pełnych mordów i okrucieństw? Niewinni cierpią za winnych. Niebo, prawdziwe niebo, a nie Niebo krwawego Jehowy, jak potem, w przyszłości, w dzień śmierci Chrystusa, posępną zaciąga się chmurą. Zdziwiłoby nas, gdyby artysta wymarzył był inaczej. Jasny promień słońca w tym obrazie, miast rozweselić oczy, podrażnił by je raczej jak urągowisko cierpieniom. A teraz krytykujcie rysunek tych ciał zawieszonych, potępiajcie anatomiczne wady w postawie tej rozszalałej bolem macierzy. Ja się na tem nie znam wcale i pod tym względem łatwo ustąpię wam z pola, powtarzając jednak uparcie, że całość obrazu przekracza granice miernoty i szczerem mojem życzeniem jest, by na przyszłorocznej wystawie było takich jak ten obrazów ze wszystkiemi nawet jego wadami, więcej nieco niż na teraźniejszej.

5. *Berne-Bellecour:* „Tyraljerzy fracuscy w bitwie pod Malmaison 21. października 1870 roku.“ Fantazja ta jak wszystkie inne obrazy bitew. Z naocznych świadków żadnemu zapewne nie przyszło na myśl pod kul świstem pędzel schwycić do ręki; a bitwa malowana potem z pamięci w pracowni, za szczupłej by szerokie potyczki odtworzyć horyzonty, nie może być niczem innem jak tylko fantazją. Jedni to chwalą, drudzy ganią, ja zostaję chłodnym i przyznając autorowi pewnę dozę talentu, odsyłam was do daleko udatniejszego w tym samym rodzaju obrazu pana Neuville, o którym będzie mowa dalej.

Po tych wszystkich mordach bitwach i pożogach spieszmy pod świeżą.

6. *Bodmer'a* odetchnąć gęstwiną. Śliczny krajobrazik. Las w Fontainebleau był mu modelem. Wzrok tonie w morzu zieleni. Promyk słońca przez szmaragdowe ślizgając się sklepienie, niewielką rozświeca łąkę. Murawa wabi do spoczynku. W głębi, na prawo, z gęstwi boru wysunęła się ładna główka sarneczki i przelękłemi w koło patrzy oczyma. Cicho tu i rozkosznie aż miło. Ale czas nagli, dalej w drogę.

7. *Böle (Joanna)* Pseudonim to młodej i do bardzo arystokratycznego świata należącej artystki (Panna de Toulza.) Znacie bez wątpienia od lat już przynajmniej kilkunastu bardzo wzięte, szczególniej w kole płci pięknej, obrazki pana Chaplin. Jeden z nich, dziewcze puszczające bańki mydlane, w Luxemburgskiej chroni się galerji. Otóż panna de Toulza (Joanna Böle) jego jest uczennicą, i utwor jej tegoroczny „Po drodze do szkoły“ wiernem rodzaju mistrza jest nasladowaniem. Małe dziewcze z pękiem książek i seksternów pod pachą, zmierza do szkoły. Dziecina ładna, ale ręczę, że choć trochę podoinej do niej nie odszukacie w żadnej szkole. Kolor twarzy — poziomki ze śmietaną; kolor oczów — turkusy lub włoskie niebo; kolor włosów — takim kolorem tylko dojrzała złoci się pszenica. I to wszystko razem do szkoły! Karmelek, ładna figurka z porcelany, nic więcej. (D. n.)

BIBLIOGRAFJA

Polska.

„Ostapek.“ Powieść T. T. Jeża. Ustęp z przeszłości emigracyjnej. — Lwów 1875.

Nie wiemy, czy był temat jaki więcej opracowany i wyzyskany przez powieściopisarzów, jak temat wypadków rewolucyjnych z roku 1848. Te lata przypomina nam autor w niniejszej powieści. W jednej części skreśla z fotograficzną prawdą i lekkością stan emigracji na Mołdawji, plany i zabiegi Polaków gotujących się do odegrania pamiętnej rewolucyjnej katastrofy w Galicji, a potem zawiązuje na tle tych smutnych wypadków romans większego zajęcia, i nie może być inaczej, gdyż książka zatytułowana powieścią. — Emigrację Polaków na Mołdawii reprezentują bohaterowie jak Ostapek, człowiek czynu i energji, a przytem cichy i jak grób zimny na podszepty kobiecych czułostek. Jego serce nie słucha ani pięknej Mołdawianki, ani skromnej Tosi, którą rozkochaną w stronach ojczystych zostawił. — On poprzysiągł wraz z Filanowiczem, współtowarzyszem nieszczęśliwego Teofila Wiśniewskiego, pójść w ślady tego ostatniego, oddać się sprawie narodowej na usługi, i wywalczyć jej wolność. — Obok nich przesuwają się i inni uczestnicy rewolucyjnego związku, lecz w różnobarwnych kolorach pojęć. Około Ostapka grupują się wszystkie postacie powieści. Tosia zostawiona w dworku szlacheckim, Kassandra (mołdawianka) namiętny typ cyganki, która Ostapka zobaczyła na Mołdawji i od razu namiętnie pokochała; Mieczysław wspólnik emigracyjnego towarzystwa, nieużywający zbytniego u kolegów zaufania, a jak czas okazał szpieg moskiewski, wreszcie ks. Kozubowicz, pop jakich mało, patryjota, ukrywający buntowników przed władzą moskiewską. Wszędzie wieje prawda, naturalność, charaktery osób kreślone z fotograficzną prawdą, a tu i ówdzie nadto może długie djalogi, tudzież, wypowiadanie zdań ze zbytnią zgryźliwością, oto ciemniejsze strony powieści. — Z prawdą i naturalnością odmalował nam autor działanie i tok życia tych męczenników wolności. Ileż w ich głowach było planów, ile zmysłu organizacyjnego, ile mów zapijanych winem wygłoszono, ile czasu na czcze pogadanki zmarnowano; wszystko to jednak w poczuciu męczeństwa narodowego! Gdyby mniej ironji ze strony autora, opis wypadków wpłynąłby korzystniej na czytającego. — Styl pełen młodzieńczego zapału i siły, nadzwyczajna lekkość wiązania w całość faktów po sobie następujących, podnoszą wartość tej powieści czyniac ją zajmującą.

— „Syn Znajdy.“ Powieść ukraińska w dwóch częściach przez Piotra Jaxę Bykowskiego. Lwów — Nakładem Gubrynowicza i Schmidta 1875.

Charakter ludu ukraińskiego, odrębny od innych szczepów, obfitujący w gminnie klechdy zabobony i gusła, przedstawia rozległe pole dla powieściopisarzów i poetów kreślących malownicze sceny z życia tych smętnych synów stepu. — Wiara w czary i cuda, jako też podania ludowe, owiane tajemniczością i dziką fantazją, stanowią wyłączną cechę ich familijnego pożycia. — Powieść niniejsza obyczajowa, osnuta na tle czysto-ludowem, skreśla nam właśnie zwyczaje, wiarę i formę życia ludu ukraińskiego. Autor przedstawia nam ten lud ze strony dodatniej wyłącznie,—mianowicie jego uczciwość, pracę oraz i awanturniczość--skutkiem czego stał się może monotonnym w opowiadaniu. Miejscami miasto ścisłości w opowiadaniu, skreśla nam autor nienaturalne przygody prawdziwe *deus ex machina*, poświęcając prawdę dla efektu; pojedyńcze epizody, nie wiążące się ściśle z przedmiotem, mogłyby być bez ubliżenia całości opuszczone, a w ten sposób treść miejscami naciągana, i sztucznie ubarwiona wypadłaby króciej. Charaktery typów powieściowych przypominają więcej osoby żyjące wśród nowożytnej cywilizacji, aniżeli chłopka ukraińskiego.—Dla poczciwej jednak myśli, powieść ta powabnym stylem pisana i obficie narzeczem ludowem przeplatana, czyta się dość przyjemnie.

Niemiecka.

„Tatra-Führer“ von Dr. C. A. Scherner.

Pod tym tytułem wyszło nakładem księgarni Gosohorskiego w Wrocławiu dziełko, służące za przewodnika w Tatrach. Autor obok opisów miejscowości podaje wskazówki, jak się w podróż do Tatr wybrać należy, opisuje pobyt swój w Krakowie, jazdę góralskim wózkiem do Zakopanego itd. Autor nie szczędzi pochwał naszym górom, i zachęca swych ziomków do licznego zwiedzania tychże.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka, literatura i nauka.

— W przyszłą środę odbędzie się we Lwowie żałobne nabożeństwo, za dusze śp. Karola Libelta i

Józefa Kremera, przy współudziale Tow. muzycznego, urządzone staraniem Czytelni akademickiej.

— Pisaliśmy swego czasu obszernie o Towarzystwie zawiązanem we Lwowie, a mającem na celu wydawanie książek szkolnych i naukowych. Przez rok Towarzystwo to nie dało znaku życia. Dopiero teraz pojawiło się w „Szkole“ krótkie jego sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że Tow. wydało dotąd gramatykę języka łacińskiego, Dr. Zygmunta Samolewicza dla szkół gimnazjalnych, a nauka religji Dr. Wapplera dla szkół realnych, w przekładzie ks. Jędrzeja Świsterskiego, znajduje się w druku. Kilka innych książek Tow. przygotowuje także do druku. Cieszy nas, że Towarzystwo żyje i żyć będzie, ale ponieważ główną uwagę zwróciło na wydawanie książek szkolnych, przeto wartoby pomyśleć o wydawnictwie dzieł popularno-naukowych, których dotąd nie mamy.

— Składki na zakupno „Unji“ Matejki przyniosły już we Lwowie około 14.000 guldenów. Co się jednak dzieje z komitetem krakowskim? W pierwszej chwili zebrał on kilka tysięcy, a teraz śpi, nie dając znaku życia. Energję należy dziś rozwinąć większą niż z początku, ponieważ w naszem społeczeństwie zdarza się najczęściej, że łatwiej coś rozpocząć jak skończyć. Komitet lwowski powinien w tym jeszcze miesiącu i to podczas wyścigów urządzić jakie przedstawienie albo festyn w ogrodzie miejskim, a o agitacji w miejscach kąpielowych niech także pamięta.

— Dzienniki poznańskie zajęły się zbieraniem składek na pomnik dla śp. Karola Libelta, który nań ze wszech miar zasługuje. W pierwszej zaraz chwili zebrały sto kilkadziesiąt marek. Mamy nadzieję, że redakcje pism galicyjskich będą na ten cel także składki przyjmowały. Gdyby prenumeratorowie nasi pospieszyli z datkami, odeszlemy zebrane pieniądze komitetowi w Poznaniu, wymieniając nazwiska dawców w „Tygodniu.“

— W chromolitograficznym zakładzie Lemerciera w Paryżu, wychodzi w przepysznej „*edition de luxe*“ „Herbarz starodawnej szlachty, podług heraldyków polskich, z dopełnieniem do czasów obecnych“. Zeszyt pierwszy już ukazał się na świat; zawiera on genealogję kilkunastu rodzin. Tekst obszerny jest polski; herby chromolitografowane.

— P. Sławonicz Celiński w Krakowie, wykonał na glinie popiersie ś. p. Józefa Kremera w wielkich rozmiarach. Podobieństwo, jak piszą, ma być doskonale uchwycone.

— Jeden z nakładców warszawskich ma zamiar wydać zbiór szkiców i powiastek z życia szlacheckiego napisanych przez J. Blizińskiego, które drukowane były już w niektórych pismach warszawskich. Publikacja ta ozdobiona rycinami Kostrzewskiego niewątpliwie cieszyć się będzie powodzeniem, Bliziński bowiem jest rzeczywiście celnym malarzem komicznych stron dworu wiejskiego.

— Łucjan Siemieński tłumaczy dla sceny krakowskiej głośną tragedję francuską p. t. „Córka Rolanda,“ która już w przyszłym sezonie ma być przedstawioną.

— Olivier Hivonet, b. profesor języka francuskiego w Radomiu wykończył w tych dniach katalog książ francuskich znajdujących się w bibljotece uniwersytetu warszawskiego i wkrótce takowy drukiem ogłosi.

— W ostatnim numerze „Revue britanique“ jak donoszą krakowskie „Szkice literackie“ — znajduje się artykuł p. Courriére, autora historji literatury współczesnej w Rosji, o Juliuszu Słowackim, p. t. „Un poete polonais.“ Autor tego artykułu skorzystał z dzieła p. Małeckiego i z przekładu na język francuzki poezyj Słowackiego przez W. G. Praca jego jest kompilacją dość niezręczną i nieudatną; sądy o dziełach Słowackiego, oprócz tych, które zapożyczył z wyż wspomnionych źródeł, zdradzają wielką nieznajomość literatury polskiej, jej ducha i dążności, i pewną nawet niechęć do sprawy polskiej. Krytyka pozioma, formalna, nieoparta na żadnej zasadzie, tylko na osobistem widzimisię. Słowem, pan Courriére nie umiał podnieść się na wysokość obranego przedmiotu.

— Gundulicz, pisarz chorwacki, żyjący w XVI wieku, miał przełożyć na swój język ojczysty „Jerozolimę Wyzwoloną“ Tassa, który to rękopism ofiarował królowi polskiemu, poprzedzając go apologją Polski. Obecnie biskup Strossmayer w Diakowarze czyni starania, aby zaginiony ów manuskrypt odszukać, upraszając o wiadomości, jeśliby kto je miał w tej sprawie.

— Prawa autorów dramatycznych francuskich otrzymały obecnie gruntowniejsze rękojmie w Anglji skutkiem postanowienia parlamentu z d. 13 maja, na mocy którego ma być usunięty z konwencji literackiej 1852 roku warunek na korzyść naśladowań i plagjatów. Warunek ten był powodem, że od czasu konwencji żaden autor francuski nie mógł bronić swej własności na scenie angielskiej, chociaż każda nowa sztuka francuska niezwłocznie po przedstawieniu jej we Francji graną była w Anglji. Najlżejsza zmiana, rozciągająca się tylko do imion własnych, wystarczała, aby przekład uchodził za naśladowanie lub przywłaszczenie w dobrej wierze. Przeciwnie autorowie francuscy sądzili, że przywłaszczenie to wykonywane było w najgorszej wierze. Teraz już podobnym nadużyciom kres ma być stanowczo położony, i każdy autor francuski, jeśli tylko zechce dochodzić praw swoich w Anglji, może liczyć na pomoc sądów tamecznych zarówno jak na moralne poparcie publiczności angielskiej.

— 19. Września b. r. ma odbyć się w Brukselli zjazd medyków, do którego dopuszczeni będą wszyscy posiadający patenta naukowe za opłatą 20 frank. 16 cent. za książkę zawierającą program i ustawę kongresu. Mowy i dyssertacje mogą być wygłaszane we wszelkich językach — czas dla mowców ograniczony na minut dwadzieścia, oprócz referentów komissyi.

— Ameryka obchodzi na przyszły rok stuletni jubileusz samodzielnego bytu. Z tego powodu p. Michaelis urządził w Paryżu konkurs literacki i dramatyczny. Rozesłał odezwy do wszystkich znanych autorów załączając program i warunki tego konkursu. Oceną utworów konkursowych zajmą się dwa sądy przysięgłych. Pierwszy sąd, złożony z najznakomitszych krytyków francuskich, angielskich i amerykańskich wskaże pięć dramatów, z pomiędzy których drugi sąd, pod prezydencją Wiktora Hugo, a złożony z samych już literatów francuskich wybierze trzy. Program jest szczegółowo nakreślony: Każda sztuka konkursowa powinna intrygą i przedmiotem odnosić się do jakiegoś ustępu z wojny o niepodległość amerykańską. Napisana ma być prozą, złożona z pięciu, a co najmniej z czterech aktów. Treść jej będzie przedewszystkiem moralna. Wprowadzone w grę namiętności, muszą mieć charakter szlachetny. Rola głównej bohaterki ma być szczególnie wzniosła i sympatyczna, równie jak rola bohatera sztuki. Typ komiczny potrzebny także dla ożywienia rzeczy. Wielkie postacie Lafayetta i Washingtona przesuną się tylko z daleka przez scenę, aby dać pobudkę do gorących oklasków. Nie mogą oni jednak być bohaterami, ponieważ te sztuki mają być grane na wszystkich niemal scenach świata, a niepodobna znaleść w każdym kraju aktorów, którzyby w godny sposób przedstawić mogli te dwie osobistości historyczne, tak powszechnie znane i tak wysokiego znaczenia. Wypada nakoniec zwrócić uwagę na rzecz nadzwyczaj ważną. Wiadomo jak przyjacielskie stosunki istnieją dziś pomiędzy Anglją a Stanami Zjednoczonemi. Dwa te ludy szanują się i pojmują wzajemnie. Trzeba zatem w przedmiocie, który z natury swojej musi przypominać przeszłość, unikać wszelkiego rozdrażnienia uczuć narowych(?!) Pierwsza nagroda 5.000 franków i złoty medal wartości 4.000 fr. jakoteż trzecia część dochodu z rozprzedaży książki; druga nagroda srebrny, a trzecia bronzowy medal.

— Zmarły niedawno radzca dworu Sacher-Masoch pozostawił synowi, znanemu już pisarzowi, pamiętniki od r. 1809—1866, zawierające nader ważne dane do historji Austrji i Niemiec w tymże okresie, które syn zmarłego publikować zamyśla.

— Sławny zbiór monet hr. Prokesch-Osten, byłego austryjackiego posła w Konstantynopolu nabytym został przez berlińskie królewskie muzeum za cenę 400,000 fr. Zbiór ten zawiera w sobie 11,000 greckich autonomów i monet królewskich.

— 6. Lipca b. r. otwartą zostanie w Dreźnie wystawa wyrobów przemysłu artystycznego z wieków średnich aż do połowy XVIII. stulecia. Sam dział saski obejmie 3000 sztuk, pomiędzy ktoremi znajduje się prawdziwe arcydzieła w tym rodzaju, szczególniej z epoki renesansowej i rococo; przyczyniły się tu szczególniej Lipsk i Budziszyn nadesłaniem bardzo cennych przedmiotów. Pomysł tej wystawy jest bardzo pożytecznym i pełnym interesu.

— W Dysseldorfie już w przyszłym tygodniu rozpocznie się budowa Akademji sztuk wedle planu Riffurha. Przeznaczono na nią 1,200000 marek.

— W Akademji sztuk pięknych w Petersburgu otwarto obecnie coroczną wystawę utworów malarstwa i rzeźby. Dział krajobrazów jest na niej najobfitszy. Wyjątkową uwagę wzbudza „Zachód słońca“ pędzla księcia Mikołaja Oldenburgskiego. Czy to nie uwielbienie „po ukazu?...“

— Ryszard Wagner pracuje nad nowym dziełem, do którego przedmiot podoła mu średniowieczna legenda o Parcivalu.

— W Cincinati, w Ameryce od 11 do 14. maja odbywał się wielki festyn muzyczny. Składał się on z czterech wielkich koncertów wieczornych a trzech południowych, pod dyrekcją Teodora Thomasa z Nowego Yorku. Ażeby dać wyobrażenia czytelnikom naszym, jaki panuje obecnie smak muzyczny w Ameryce przytaczamy tu program koncertów wieczornych. 1. wieczór: „Pieśń tryumfalna“ J. Brahmsa: „Symfonja z A- Nr. 7“. Beethovena, „Uwertura i Marsz weselny“ z „Lohengrina“ Wagnera. 2 wieczór: Oratorjum „Eljasz“ Mendelsohna. 3. wieczór: Magnificat“ Bachą. Symfonja „Dmoll“ Nr. 9. Beethovena. 4 wieczor: Symfonja „Nr. 1.“ Szuberta; „Pożegnanie Wotana i Czary ogniowe“ z Walkirji“ Wagnera; „Poemat symfoniczny“ Liszta.

Podróże, i odkrycia.

— Znany podróżnik dr. Jagor z Berlina, bawił w ostatnich czasach na wyspach Adamańskich i poczynił ciekawe studja nad tamtejszymi mieszkańcami, osobliwą rassą Negrów, która pojąć nie można, jakim sposobem na te wyspy się dostała. Spostrzeżenia swoje wyda w krótce doktor Jagor na widok publiczny w Berlinie. Zwracamy na nie uwagę etnografów.

— Angielski archeolog George Smith, o którego wielce głośnych odkryciach wśród ruin dawnej Niniwy i my na tem miejscu wspominaliśmy, otrzymał od swego rządu polecenie podjęcia na większą skalę badań archeologicznych w Mezopotamji oraz zapomogę 1000 fut. szter.

Zjawska natury.

— W początkach maja dało się uczuć trzęsienie ziemi na zachodniem wybrzeżu Azji Mniejszej. Teraz nowe wstrząśnienia zauważno w Smyrnie; głównym jednak ogniskiem tej wulkanicznej rewolucji, zdaje się być okolica, w której się znajdują źródła rzeki Meander. Punkt ten leży w kantonie Ischikli na południe od Uschak i Afiam Karahissar. W Ischikli trzęsienie ziemi od 3 — 5 Maja, sprowadziło straszliwe spustoszenia. Przeszło tysiąc domów rozsypało się w gruzy, przyczem ogromna ilość mieszkańców zginęła. We wsi Iwril, liczącej 300 domów, ani jeden nie pozostał w całości: z pod ruin wydobyto dotychczas 450 trupów. Niedaleko od tego miejsca ziemia się rozwarła i wyrzuca z siebie gorące źródło.

Nowy zakład leczniczy.

— P. Leonard Truskolaski w Płonnej, urządził nowy zakład żętyczny w górach w Kulasznem. Na samo miejsce dojechać można koleją żelazną, a mianowicie z Przemyśla w cztery godziny drogą żelazną łupkowską do stacji Szczawnego, której dworzec w większej połowie zbudowany jest na gruncie Kulasznego. Właściciel zakładu postawił kilka domów i umeblował 24 pokoje dla gości. Świeżej żętycy dwa razy dziennie dostarczać będzie kilkaset owiec, które się pasą na górach porosłych wonną trawą. Do spaceru służy ogród zajmujący 6 morgów. Obok tegoż płynie rzeczka Osława, w której będą urządzone kąpiele. Las sosnowy jest dość blisko, a prócz tego właściciel urządza na łące obok zakładu, na kilku morgach lasek świerkowy i sosnowy, sadząc drzewa kilkoletnie. W zakładzie jest restauracja; poczta jest także w miejscu, a pociągi przychodzą i odchodzą dwa razy dziennie. — Rady lekarskiej udziela p. Hamaides, lekarz kolejowy, mieszkający w miejscu. Zakład otwarty został od d. 15. Maja br.

Nekrologja.

— † Marjan hr. Czapski, zasłużony autor „Historji konia“ zmarł d. 10. bm. w Więckowicach w Wks. Poznańskiem.

ROZMAITOŚCI.

— Znakomity i zapalony podróżnik oraz myśliwiec francuski, A. Tomasz Anquetil wydał obecnie na widok publiczny niezmiernie ciekawe przygody swoje w Birmanji, w pięknej książce p. t. „Aventures et chasses dans l'estrême Orient; première partie: hommes et bêtes" (Paris, Charpentier et Cie). Niektóre z tych przygód jego, szczególniej myśliwskich, są nad wyraz interesujące, i dlatego podawać je będziemy tutaj czytelnikom w obszerniejszych wyjątkach. Jedną z pierwszych wypraw łowieckich, którą opisuje Anquetil, jest wyprawa na głuszce urządzona w miejscowości zwanej Thile-Mhyoo nad rzeką Irawaddy. Pewnego dnia Anquetil, wybrawszy się na łowy ze swymi dwoma służącymi, z których jeden był negrem z wybrzeża malabarskiego, a drugi majtkiem bretońskim, powrócił z pustemi rękami. Niepowodzenie to tak go zmartwiło, że poskarżył się na nie przed jednym z birmańskich swoich znajomych. Birmańczyk chcąc mu zrobić przyjemność, obiecał nazajutrz dać mu za przewodników żonę swoją i sługę, którzy go zaprowadzą w okolicę, kędy napewno zdobyczy nie zabraknie. I w samej rzeczy nazajutrz przyłączyła się do Anquetila i jego obydwu służących młoda birmanka, nazwiskiem Muy-Ma, ze swoim sługą i zawiodła ich w okolicę, którą prawdziwem gniazdem głuszców nazwać można było. Wysoki na 10 metrów i na tyleż gruby, nieprzebity żywopłot zamykał to miejsce; zaledwo łasica mogłaby się przezeń przesunąć, tak gęstą była ściana z krzaków cierniowych. Furtka pomiędzy palami umieszczona i zabezpieczona wybornie przeciw słoniom, małpom i małym gryzuniom prowadziła wewnątrz tego ogrodzenia, kędy w wielkiej obfitości rosły bujne banany. „Ten Plantage (rodzaj zwierzyńca) — objaśniła Muy-Ma — należy do gubernatora prowincji, można tu polować, ale szkody czynić nie wolno. Pozostawcie więc waszych służących na zewnątrz, niech strzelają do głuszców, któreby przeleciały przez ogrodzenie lub przez furtkę uciekły. Teraz (było to popołudniu) nasza zwierzyna śpi bez obawy na bananach, w których owocu wielce smakuje; jeżeli choć jedno zbudzimy, uciekną wszystkie, z wyjątkiem wysiadujących kur. Co z temi zrobimy—później wam wyjaśnię; do reszty zaś strzelajcie, skoro je tylko ujrzycie." — Anquetil posłuszny temu wezwaniu wskazał sługom swoim, Józefowi, Negrowi, bardzo zręcznemu ale leniwemi chłopakowi, i bretonowi Desiré stanowiska dla nich przeznaczone, a sam wszedł z birmanką i jej służącym w ogrodzenie. Jakkolwiek cicho się sprawiali, szelest liści potrąconych ich nogą zbudził ptaki. Jeden z nich wydał ostry krzyk, któremu wnet inne odpowiedziały. Anquetil zastrzelił pierwszego głuszca, właśnie w chwili gdy ten chciał odlecieć, również i drugiego; reszta jednak zerwała się i znikła, pierwej nim zdołał nabić broń na nowo. Służba ustawiona na zewnątrz dała ognia; ale tylko strzał Negra był trafny. Tymczasem Anquetil, Muy-Ma i birmańczyk skierowali się w inną stronę ogrodu. Znajdował się tam głęboki dół, otoczony gęstym płotem. — „Tutaj — rzekła Muy-Ma — kryją się kury siedzące na jajach i wychowujące pisklęta, i czują się zupełnie bezpiecznemi od prześladowców. My jednak dostaniemy je w ręce; nie zwykły bowiem opuszczać jaj i piskląt w chwili niebezpieczeństwa i uciekać z gniazda. Strzelajcie jednak za pierwszym danym znakiem, inaczej jaja będą dla nas stracone!" Dalszy ciąg łowów wyjaśnił Anquetilowi zagadkowe brzmienie tych ostatnich słów. Gdy bowiem zbliżyli się wszyscy troje do płotu otaczającego dół, sługa birmanki postawił na ziemi małą skrzyneczkę, którą dotychczas niósł w ręku, otworzył ją i Anquetil na wielkie podziwienie swoje ujrzał w głębi węża, długiego na 5 — 6 stóp, z brzękadłami na szyi, którego birmanka pieszczotliwie pogłaskała i śmiejąc się z osłupiałej miny Francuza rzekła: — „Wąż ten nie jest jadowity, ale niezmiernie lubi jaja ptasie, idźmy więc za nim bez zwłoki" Gdy te słowa kończyła, wąż tymczasem szybko wcisnął się pomiędzy gałęzie płotu i zniknął im z oczu tak, że tylko dźwięk brzękadeł wskazywał kierunek jego ruchu. Nieraz ucichł ten dźwięk, a Muy-Ma klasnęła właściwym sposobem w ręce. Na to klaśnięcie wąż powrócił z oznakami najżywszego poruszenia. Gdy się zbliżył, pani jego, pomimo gwałtownych rzutów, jakie czynił, schwyciła go w ręce i zaciągnęła mu na głowę maleńki kapturek, który go w zupełną nieruchomość wprawił. Wówczas ona zwracając się do Anquetila, rzekła: — Teraz przygotujcie się do strzału i patrzcie uważnie przez szczelinę płotu a niezawodnie ujrzycie kurę" — Anquetil pochylił się i istotnie ujrzał kurę, która przysiadła w gęstwinie po za płotem. Skrzydła jej były rozstawione, pióra najeżone i cała postać okazywała jak największą rozpacz. Pod sobą starała się ukryć z tuzin piskląt. Anquetil dał ognia, celując jednak wysoko, ażeby o ile możności oszczędzić pisklęta. Po strzale dało się słyszeć ostre gdakanie i pisklęta potoczyły się w głęboki dół, kędy musiały niewątpliwie nogi i karki połamać. Trzy tylko wraz z kurą zostały na miejscu: te stary birmańczyk, przebiwszy się przez płot przyniósł. W niejakiem oddaleniu od tego miejsca zdjęto wężowi kapturek i łowy zaczęły się na nowo. Teraz na sygnał swojej pani wąż nie powracał. — „Ach, hultaj, — zawołała birmanka — zjada jaja!" — I pobiegła żywo naprzód a za nią jej towarzysze. — „Naraz — powiada Anquetil — ujrzałem widowisko, którego póki życia nie zapomnę. Wąż pełznął ku kurze, wydając właściwy sobie ostry syk; kura pomimo gwałtownej trwogi pozostawała na gnieździe, z wyraźnem postanowieniem bronienia go do śmierci. Tak siedząc, wydawała urywane, szorstkie głosy; nastroszone pióra czyniły ją podobną do jeża, całe ciało trzęsło się z niezmiernej trwogi. Wąż z zadziwiającą szybkością zbliżał się ku gniazdu, z podniesioną głową, otwartą paszczą, ogonem w gwałtownym ruchu i oczami bystro wytężonemi na ofiarę. Kura, magnetyzowana coraz mocniej tem spojrzeniem, prostowała się machinalnie, jakby dla spotkania wroga, który coraz ciaśniejsze kręgi zakreślał. Wreszcie straciła głos i wycieńczona, bez ruchu, upadła na gniazdo. Wówczas wąż wśliznął się pod nią, chwycił jedno jajo rozbił je i połknął żółtko z wyraźnem upodobaniem. W ten sam sposób byłby i z resztą się uwinął, gdyby nie birmańczyk, który przebiwszy się przez gęstwinę, zarzucił mu kapturek na głowę. Kura, uwolniona z pod magnetycznego zaklęcia oczu węża, ożyła naraz i rzuciła się na birmańczyka z wrzaskiem, dziobiąc i drapiąc, tak, że byłaby mu oczy wykluła, gdyby się nie był spiesznie cofnął. Sceny podobne tej powtórzyły się jeszcze kilkakroć. Wreszcie zawiesiliśmy łowy. Węża schowano napowrót do skrzynki — a zdobyczą podzieliłem się z memi towarzyszami. Na moją część wypadło 20 głuszców i koło 40 jaj. Wybrałem najpiękniejszą część mojego udziału i posłałem gubernatorowi, za co mnie zaproszeniem do siebie zaszczycił".

— Śpiewaczka wiedeńska, panna Murska, gości obecnie na scenach amerykańskich. Niedawno występowała w mieście Brashear, w Louizjanie, a jeden z dzienników tamtejszych tak o tych występach napisał: „Głos panny Murskiej jest przecudowny. Przebiega on całą drabinę tonów w górę i w dół z jednakową łatwością i zwinnością, ze zwinnością, prawdziwie, doświadczonego kota co biega po stromym dachu. Przy śpiewie panny Murskiej krew słuchaczy od razu rozgrzewa się do 212 stopni termometru Fahrenheita, poczem znów nagle spada w cieplo niżej zera, tak że się czuje mróz w kościach". Ostatni skutek sprawia także podobno i ta krytyka amerykańska.

— Osobliwy wypadek wydarzył się niedawno w spedycyjnej sali towarów, na jednej z poczt algierskich. Stało tam wielkie pudło z dwoma wężami, przysłanemi z Batuï, a przeznaczonemi dla ogrodu zoologicznego w Marsylji. Przypadkiem do nich dostał się kot. Z szybkością strzały rzuciły się węże na niego, pochwyciły go w swe objęcia i zadławiły; poczem czuła para wzięła się do połknięcia ofiary. Samiec pochwycił kota za głowę, samica zaś za tylną część jego ciała. Wiadomo jest zaś, że węże połknąwszy na wpół jakie zwierzę, nie mogą już z powodu dziwnej budowy zębów i szczęk wyrzucić go z paszczy. Tak więc i teraz gady chłonęły w siebie zwłoki nieszczęśliwego kota, aż się spotkały głowami ze sobą. Tu nastała pauza mimowolna w obiedzie. Węże nie mogły się bowiem ani posunąć naprzód, ani cofnąć. Wreszcie samica wiedziona apetytem, czy też instynktem zachowawczym, roztwiera paszczę jak najszerzej i usiłuje połknąć kota wraz z małżonkiem. Lecz niestety, wysilenie to przypłaca śmiercią, której niebawem i drugi wąż uległ. Trzy te zwierzęta, tak dziwnie spojone ze sobą, zachowano jakko osobliwość w spirytusie. Dyrekcja zoologicznego ogrodu jednakże zaskarżyła zarząd pocztowy o niedbałość i żąda wynagrodzenia szkody.

— W Hiszpanji rozpowszechniła się niezmiernie satyryczna piosnka, charakteryzująca wybornie dzisiejsze tamtejsze stosunki i szydząca nielitościwie z rozszczepienia się narodu na mnogie stronnictwa polityczne, których liczą już do dwudziestu sześciu! Oto dosłowny przekład dwóch pierwszych zwrotek tej piosnki, z którą dziś w Hiszpanji na każdym kroku spotkać się można, to drukowaną na pudełkach od zapałek, to na chustkach od nosa, to nawet odbijaną na talerzach w restauracji:

„Matka moja jest karlistką,
Alfonsistą jest mój ojciec
A mąż republikaninem; —
Inez marzy o Cabrerze.
Bracia dwaj są federalni,
Inni dwaj zaś radykalni;
Sanczo, wuj, to Iberyjczyk,
Pablo zaś kantonalista", i t. d.

— Władze na wyspie Ceylon wzbroniły obecnie polowania na słonie, które dawniej masami tępiono, tak że liczba ich znacznie się zmniejszyła. Tymczasem słoń na Ceylonie jest nietylko najpożyteczniejszem zwierzęciem, ale najdzielniejszym robotnikiem, bez którego niepodobna byłoby budować dróg, mostów i t. p. Podziwienia godną ma być roztropność, rozum prawie tych zwierząt, z jakim nietylko ciągną lub popychają przed sobą olbrzymie belki, kamienie i t. p., ale układają je gdzie potrzeba, jak najlepsi mularze lub cieśle. Wprawiony w taką robotę słoń, przedstawia przy robocie wartość nieocenioną. Z tego powodu teraz wolno już tylko żywcem chwytać dzikie słonie, i to za osobnem pozwoleniem gubernatora. Zresztą dzisiaj zniknął już powód do gromadnych jak dawniej obław na słonie, gdy te w wielkich masach nachodząc uprawne okolice wyspy, niesłychane czyniły szkody i spustoszenia; — dziś bowiem, rozsądny ten zwierz, poznawszy nierówność swojej walki z człowiekiem, dał jej pokój i nie narusza wcale jego własności.

— Osobliwsze zdarzenie, jedyne może w swoim rodzaju, przytrafiło się psu w Moguncji. Piesek pewnej pani, maleńki pinczer, przepadł jednego dnia bez śladu i wszelkie poszukiwania oraz wezwania w gazetach wykryć go nie mogły. Pani owa, miała w innym domu, nie w mieszkaniu swojem, zbyteczne meble na składzie do których częstokroć całe tygodnie nie zaglądano. Przypadkiem jednak, w ośm dni po zniknięciu ulubieńca, przechodził ktoś przez oddalony kurytarz prowadzący do owego składu i usłyszał pisk przygłuszony psa. Zawiadomił tedy właścicielkę domu o swojem spostrzeżeniu, otwarto pokój i znaleziono zaginionego psa, w zdrowiu i całości, tylko czarna wełna pokrywająca jego łepek, na całej czaszce posiwiała! Zamknięcie psa wyjaśniło się tem, że musiał wbiedz za kimś odwiedzającym ten skład i przez nieuwagę zamkniętym został. Od ośmiu dni jednakże nikt tu nie był; ośm dni tedy przepędziło to zwierzę w zamknięciu, bez jadła i napoju, nim je znaleziono. Sądziłby kto, że meble wypychane sierścią, podarte lub pogryzione zostały, przez psa dręczonego głodem. Bynajmniej — i nigdzie w całym pokoju nie było śladu najmniejszej nieczystości. Z początku, po wypuszczeniu, nie okazywało zwierzę najmniejszego apetytu, wkrótce jednak rzuciło się chciwie na wodę i wypiło jej odrazu $1^1/_2$ kwarty. Poźniej dało się skłonić do przyjęcia pokarmu a w dwa dni potem było znów jak dawniej rzeźwe i zdrowe. Najciekawszym jednakże szczegółem tego zdarzenia jest to nagłe posiwienie włosów na głowie u psa, posiwienie, które u ludzi częstokroć zdarzało się pod naciskiem gwałtownego przerażenia lub zgryzoty.

Treść Nr. 24.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).